Nr. 186. Lwów — Czwartek dnia 13 Sierpnia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłate należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Za miejsce petitowy albo jego miejsce . . .
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . .
Za słowo tłustym garmondem po . . .
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . .
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Za wiersz petitowy albo jego miejsce . . .
Reklamy . . .
Nekrologia . . .
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Hipolita | 1 Awh. Pr. ś. k.
Jutro: św. Euzebiusza | Stefana

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 59
Zachód „ „ 7 „ 8

Długość dnia g. 14 m. 9
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 12 sierpnia.

Zdarza się czasami, że czego daremnie usiłuje dopiąć dyplomacya i czego nie uczyni ani interes polityczny, ani ekonomiczne względy, to osiąga odrazu jakieś jedno wrażenie. Tak właśnie stało się teraz w stosunkach niemiecko-francuskich. Zmieniły się one nagle, pod wpływem zdumienia, lecz zmieniły się naturalnie tylko w uczuciach, jakiemi ogół francuski dotąd obdarzał swych zareńskich sąsiadów, ale i to już znaczy wiele, może najwięcej.

Gdzieś u wybrzeży oceanu Spokojnego cyklon porwał na dno niemiecki statek wojenny „Iltis“ prawie z całą jego załogą, bo z ośmdziesięciu kilku marynarzy ocalało tylko dwunastu. Jest coś majestatycznego w opowiadaniu ocalonych od śmierci o ich towarzyszach. Nie zaskoczyła ich ona znienacka. Widzieli ją wszyscy, gdy się zbliżała, a kiedy już miała objąć statek w posiadanie, postanowiono powitać ją, jak przystało na ludzi, którzy się niczego nie boją. Okrętem nie można już było kierować. Morze robiło z nim, co chciało; dla służby nadeszła chwila odpoczynku, bo ręce ludzkie nie zdały się już na nic. Kapitan kazał wówczas wystąpić wszystkim na pokład i gdy dało się słyszeć złowrogie trzeszczenie belek, gdy wiedziano, że za minutę będzie już po wszystkiem, wezwał podwładnych, by po raz ostatni po wojskowemu uczcili monarchę. Pruskie „hura“ rozległo się trzykrotnie wśród huku bałwanów i natychmiast wszystko się skończyło.

Zwyczaj dyplomatyczny nakazuje składać panującym kondolencye po takiem nieszczęściu. Francya uczyniła to tem skwapliwiej, iż wypadało jej odwdzięczyć się za to, że cesarz Wilhelm, płynąc ze swymi statkami ku Lofotenom, ocalił tonący francuski parowiec na wodach norweskich. Tym jednak razem do wyrazów, przesłanych w depeszy urzędowej, prasa francuska dołączyła swoje. Męstwo Niemców zaimponowało jej. Nie ubolewano nad nimi, lecz posunięto się dalej: zazdroszczono marynarce niemieckiej takich ludzi. W tych zwrotach, pełnych uznania, kryło się pytanie, które każdy dziennikarz francuski, pisząc o tym przedmiocie, miał w duszy. „Co będzie — pytali sami siebie — gdy z tymi ludźmi zmierzyć nam się kiedyś wypadnie? Co będzie, gdy gwardya pruska stanie nam kiedyś murem z tą samą pogardą śmierci, z jaką tamci poszli pod wodę? Czy nasz żołnierz będzie umiał ginąć tak samo?“ — I uczuto cześć, zdumienie, — pokorę.

Bo też w załodze „Iltisu“ skoncentrowała się cząstka tej pruskiej tężyzny, pruskiej karności i pruskiej służbistości, która Bismarkowi i Moltkemu posłużyła za narzędzie do ich znanych czynów. Straszne to dla sąsiadów i wrogów plemię, które ma na zawołanie armię, złożoną z takich jednostek! Wielkie wojny wygrywał Wilhelm I dzięki temu, iż wodzowie jego wiedzieli w każdej chwili, co zrobi żołnierz, zapomniany gdzieś na odosobnionej warcie. Nie zmieniło się to dotychczas. W ministeryum marynarki w Berlinie wiedzą, że załoga okrętu, miotanego falami, zawieszonego między obłokami i morzem, nie naruszy regulaminu do ostatniego tchnienia. Mawiano o Niemcach, że ze zdobytego Paryża przynieśli sobie dwie trucizny: miliardy i koniak. Być może, iż jad ten wszedł w krew tej warstwy, która pływa górą po fali społecznej, ale nie dotarł on do chat nadmorskich, gdzie wyrastają przyszli marynarze.

Nietylko dla francuskiego, lecz i dla innych społeczeństw jest w tem nauka. O majtku pruskim nie można powiedzieć, że jest bezmyślnem, służalczem stworzeniem, umierającem spokojnie dlatego, że mu spokojnie umierać kazano. Jeżeli zdobył się na męską odwagę, której się dziwią nieprzyjaciele, to uczynił to dlatego, że przez kilka pokoleń wychowywano rodzinę jego w przekonaniu, iż tylko przez poświęcenie jednostek całość ostać się może; uczynił to dlatego, że wie z dziejów swego państwa, iż to, co czci i szanuje od dziecka, powstało wskutek żelaznej dyscypliny; uczynił to dlatego, że wie, iż wolno mu rezonować o marynarce na zgromadzeniu wyborców, ale gdy stoi w szeregu na pokładzie, honor i sumienie nakazują mu słuchać tych, którym państwo komendę oddało.

Jeżeli o męstwie, z jakiem umierali ci ludzie, mówi się dziś w świecie z szacunkiem, to może i dlatego, iż nie ginęli oni w krwawym boju o wielkie cele. Łatwiej iść na śmierć, gdy się piersią zasłania ogniska i ołtarze; trudniej — gdy się zostało wysłanym dla jakiegoś manewru na morzu. Długiej potrzeba szkoły i wiekowej tradycyi, by społeczeństwo, przyzwyczajone do filozofowania i rozpraw, nauczyć tej wielkiej prawdy, że skoro postanowiono coś wykonać, nie pora pytać o to, czy czyn ten jest dla ogółu potrzebny, lecz wykonać go należy ściśle, sumiennie i bez szemrania.

Wychowywanie pokoleń, to jest także przygotowywanie się do wojny. Zrozumieli to Francuzi, zastanawiając się nad ostatniemi chwilami życia załogi „Iltisu“ i pochyliwszy głowy wyrzekli: „Mamy liczną armię, świetne fortece, znakomitą broń i złota wiele trzeba, a jednak — myśmy niegotowi!“

Mężni marynarze „Iltisu“ w chwili zgonu spełnili ważne polityczne zadanie, bo takie myśli, jakie teraz nasunęły się Francuzom, nie przemijają bez śladu. Oby się one wszystkich, którzy walczyć muszą o lepszą przyszłość, głęboko wraziły się w pamięć i oddziałały na czyny, na cały obyczaj!

O dymisyi kanclerza niemieckiego, ks. Hohenlohego, piszą wprawdzie bismarkowskie dzienniki już od dość dawna, ostatnimi jednak czasy kwestyę tę omawiały o wiele natarczywiej i przedstawiały tę dymisyę jako rzecz już postanowioną. Czytując wszystkie te elokubracye, można było niemal sądzić, że dymisya ks. Hohenlohego, jeżeli w istocie nastąpi, jak to przepowiadano, oznaczać będzie zupełny zwrot polityki niemieckiej do kierunku bismarkowskiego, gdyż stosunek między cesarzem a Bismarkiem jest dziś wrzekomo nadzwyczaj serdeczny, czego najlepszym dowodem ma być to, iż dwaj synowie cesarscy złożyli w sobotę wizytę staremu pustelnikowi w Friedrichsruhe. Jako bezpośredni powód dymisyi podawały dzienniki bismarkowskie różnicę między zapatrywaniami cesarza a ks. Hohenlohego na kwestyę uregulowania stosunku ministeryum wojny do przybocznej kancelaryi wojskowej cesarza.

W niedzielę wezwał cesarz ks. Hohenlohego do Wilhelmshöhe, gdzie przebywa od powrotu swego z wycieczki do fijordów norweskich. Na tej to audyencyi miał, wedle zapewnień bismarkowskich proroków, cesarz oświadczyć ks. Hohenlohemu, że nie może się zgodzić z jego poglądami na ową kwestyę sporną, a zatem przyjmuje jego dymisyę.

Zdaje się atoli, że te przepowiednie odzwierciedlały tylko gorące życzenia bismarkowskiej prasy, a nie odpowiadały rzeczywistości. Sfery bowiem, mające bliską styczność z dworem niemieckim, zapewniają, że w Wilhelmshöhe konferował cesarz z ks. Hohenlohem jedynie o sprawie kreteńskiej i o sprawie majora Lothaire'a, a o stosunku między ministeryum wojny a przyboczną kancelaryą wojskową cesarza nawet mowy nie było, gdyż w sprawie tej cesarz najzupełniej zgadza się z kanclerzem. Temu zaś, jakoby ks. Hohenlohe z audyencyi tej powrócił z przyjętą już dymisyą, zaprzeczono jak najkategoryczniej. Zresztą przepowiedni tej zadaje kłam ta okoliczność, że ks. Hohenlohe doznał w Wilhelmshöhe nadzwyczaj łaskawego przyjęcia, a nawet cesarz w otwartym powozie odprowadził go na dworzec kolejowy.

Mimo to dzienniki bismarkowskie upierają się przy swojem: jedne zapewniają, że dymisya już jest przyjęta, drugie utrzymują jedynie, że ks. Hohenlohe podał się do dymisyi i że dymisya zostanie przyjęta, niewiadomo tylko, czy teraz, czy za kilka tygodni.

Najnowsza faza kwestyi wschodniej.

Piszą nam z Wiednia, 11 sierpnia:

Schyłek wieku XIX nie grzeszy zapałem. Główną jego cechę stanowi przeciwnie pewien zgryźliwy sceptycyzm, skłonny do żartów z wszelkich porywów i do samolubnego oburzenia, o ile takowe mogłyby zakłócić sławną zgodę i jednomyślność mocarstw. Oswobodzona Grecya od lat 50 starała się gorliwie ostudzić romantyczny zachwyt, w którym na początku b. stulecia dwaj najgłośniejsi poeci Byron i Wiktor Hugo w zgodzie z młodzieżą europejską witali i opiewali zrzucającą z siebie jarzmo Helladę! Patrząc jednak na stosunki greckie najchłodniej, trudno odmówić słuszności rozumowaniom londyńskiego *Standardu*, że najodpowiedniejszem rozwiązaniem kwestyi kreteńskiej byłoby przyłączenie tej wyspy do Grecyi, lub obdarzenie jej autonomią na wzór bułgarski. To rzeczywiście zdaje się być jedynym środkiem, aby załatwić zatarg, który ogniem i mieczem pustoszy nieszczęśliwą wyspę, a nadto od kilku miesięcy nabawia dyplomatów tak wielkiego kłopotu. Niezawodnie taka amputacya pośrednio wzmocni prądy separatystyczne w Macedonii, Armenii, i t. d. chwilowo jednak usunie wszelkie naprężenie pomiędzy Grecyą a Turcyą i niezawodnie najmniej zakłóci „jednomyślność“ wielkich mocarstw, z których żadne nie rości sobie ani na teraz, ani na przyszłość pretensyi do tej cząstki spadku „chorego człowieka“ w Stambule. Wszystkie ważniejsze przesilenia w Turcyi dotąd kończyły się amputacyą, a taka operacya zawsze na kilkanaście lat sprowadzała pauzę w odwiecznej kwestyi wschodniej. Dzięki tym amputacyom, które się rozpoczęły r. 1699 pokojem karlowickim, z ogromnego państwa tureckiego w Europie pozostało sułtanowi już tylko 3.000 mil kwadr., których ludność obliczają obecnie na $4\frac{1}{2}$ miliona, i to: $\frac{1}{2}$ miliona w wilajecie carogrodzkim, 600.000 w adryanopolskim, po milionie w salonickim i kossowskim, pół miliona w janińskim (Albania), około 200.000 w skutarskim, i 400.000, a według innych obliczeń tylko 200.000 na Krecie (wilajet Giridu). W Turcyi nie ma dokładnego spisu ludności według narodowości. Co do wyznania, z owych $4\frac{1}{2}$ miliona mieszkańców europejskiej Turcyi zalicza się 2 miliony do mahometan, ale i z tych znaczna liczba należy do narodowości greckiej, bułgarskiej, serbskiej i albańskiej. Aby sztucznie utrzymać, a raczej przedłużyć o kilkanaście lat panowanie tak drobnej mniejszości tureckiej, nie warto zadawać sobie tak wielkiej pracy.

Co mianowicie dotyczy Austro-Węgier, to już dawno dojrzali mężowie stanu oswoili się z ewentualnością, a nawet koniecznością upadku Turcyi. Jeżeli czasem jeszcze w sejmie węgierskim pusty krzykacz à la Ugron z opozycyjnych względów popisuje się przedawnionemi frazesami o potrzebie zachowania, a nawet bronienia Turcyi, wystarcza wskazać na Andrassego, który nie byłby przyzwolił ani na wojnę rosyjsko-turecką w roku 1877-ym, ani na amputacyę bułgarską etc, ani nie byłby zajął Bośnii i Hercogowiny, gdyby nie był zrozumiał doskonale, że Turcyi nie podobna obronić od upadku, i że więc chodzi jedynie o to, aby się jej rozkład odbywał w najporządniejszy i najmniej dla Austro-Węgier szkodliwy sposób. Za czasów ks. Metternicha program zachowania Turcyi à tout prix, z punktu widzenia austryackiego był uzasadniony. Ale nikt wyraźniej od Turcyi samej tego programu nie sprowadził ad absurdum. Wstrzymać go dziś byłoby anachronizmem. Można więc być pewnym, że ten wzgląd nie wpływa bynajmniej na teraźniejszą politykę zagraniczną Austro-Węgier. Nie komplikują jej także żadne widoki zaborcze. Nawet najzacietsi przeciwnicy monarchii przestali gawędzić o rzekomym „marszu do Saloniki“. Właśnie ta zupełna bezinteresowność Austro-Węgrom zapewnia ogromną siłę moralną we wszystkich dalszych fazach kwestyi rozkładu Turcyi. Specyalnie w kwestyi kreteńskiej nic nie zmusza rządu tutejszego do stawania na pierwszym planie i do wysilania się na wymyślanie środków zaradczych. Właśnie kwestya kreteńska wszystkie inne mocarstwa obchodzi bliżej, niż Austryę, która także w dawniejszych zatargach grecko-tureckich pozostawała na uboczu.

Dzisiejsze depesze o nowych okrucieństwach w Anopolis wprawdzie zwiększają moralny obowiązek areopagu europejskiego położenia tym strasznym wypadkom końca, ale ten obowiązek w pierwszym rzędzie cięży na Rosyi i Anglii, nie na Austro-Węgrzech. Dla polityki wiedeńskiej każdy ruch w północnych częściach półwyspu bałkańskiego ma nierównie większą praktyczną doniosłość, niż najdramatyczniejsze katastrofy na Krecie.

W tej chwili sytuacya w tej strefie, przytykającej bezpośrednio do południowych granic monarchii, zdaje się być zadawalniającą. Stosunek do Rumunii staje się coraz „normalniejszym“. Zwrot księcia Ferdynanda do jutrzenki wschodu nie sprowadził następstw, których się tutaj obawiali pessymiści. Uznany nareszcie księciem ukazuje się dziś w przykrej roli człowieka, siadającego pomiędzy dwoma stołkami. Nie zjednał sobie dotąd zupełnego zaufania i protekcyi Rosyi, a widocznie stracił zaufanie w Wiedniu. Świadczy o tem najwyraźniej fakt, że dotąd nie uzyskał posłuchania u Cesarza Franciszka Józefa. Nie otrzymał też, jak królowie rumuński i serbski, zaproszenia na uroczystości w Orsowie. Tłómaczą to wprawdzie tem, że książę nie jest władzcą niezależnym, lecz lennikiem W. Porty. Takie jednak względy z pewnością nie byłyby przeszkodziły zaproszeniu księcia na uroczystości otwarcia żelaznych wrót Dunaju, gdyby w ogóle istniała tutaj chęć zbliżenia się do niego. W żadnym razie ks. Ferdynand nie stał się sąsiadem groźnym. Także zapowiadana szumnie liga bałkańska nie dopisała. Król serbski, przyjąwszy zaproszenie na uroczystości w Orsowie, nie może asystować na uroczystościach jubileuszowych w Cetynii (około 20 września), które miały ponownie głośno zaznaczyć solidarność serbską i stać się dalszym krokiem na drodze do urzeczywistnienia projektu ligi bałkańskiej. Wprawdzie król Aleksander w pierwszych dniach września odda księciu Nikicie wizytę w Cetynii, ale będzie to już tylko konieczna, konwencyonalna schadzka, pozbawiona wszelkiej doniosłości demonstracyjnej. Tutaj tymczasem znana uchwała wydziału miejskiego co do przystrojenia ulic na przywitanie cesarza Mikołaja wywołuje jeszcze ciągle namiętne epilogi. Wczoraj na dziesięciu zgromadzeniach socyaliści wypowiedzieli swe oburzenie z powodu owej uchwały. Co najciekawsza, to, że także socyaliści czescy, pomimo swego fanatyzmu russofilskiego, zgodzili się na tę rezolucyę. Opozycya socyalistów w opinii ludzi poważnych musiałaby całkiem zrehabilitować Radę miejską, i mogłaby obudzić mniemanie, że Rosya jest rzeczywiście, jak przypuszczają naiwni, ochroną konserwatyzmu i ładu społecznego, gdybyśmy nie wiedzieli doskonale, że właśnie w społecznym (zwłaszcza agrarno-komunistycznym) i politycznym ustroju Rosyi znajduje się najwięcej żywiołów, najbardziej zbliżonych do ideału państwa socyalistycznego.

Korespondencye.

Paryż, 7 sierpnia.

(W. Z). Prezydent republiki odbywa podróż po Bretanii. Podróż ta ma o wiele większe polityczne znaczenie, aniżeli wszelkie inne podróże p. Faure'a po prowincyi. W ostatnich latach pięćdziesięciu tylko dwa razy zwiedzali zwierzchnicy państwa departamenty bretońskie, Napoleon III i Mac Mahon. Obaj jednak zwiedzili je tylko w przelocie. Carnot wybierał się nieraz do Bretanii, ale nigdy zamiaru tego nie wykonał. Wogóle i ostatni cesarz i wszyscy prezydenci republiki okazywali jakoby niechęć zetknięcia się z celtycką ludnością Bretanii. Jestto bowiem lud po dziś dzień całem sercem oddany wierze katolickiej i burbońskiej rodzinie królewskiej, lud, nie chcący nic słyszeć ani o republice, ani o szkole bezwyznaniowej. Tam nie czytają paryskich gazet, nawet po francusku bardzo mało mówią, a wieśniak bretoński nienawidzi szkół, w których dzieci jego uczą po francusku. Do parlamentu wysyła Bretania zawsze tylko zagorzałych monarchistów. Otóż tę ludność postanowiono obecnie skaptować dla republiki i to jest głównym celem podróży p. Faure'a. Trzem posłom monarchicznym z Finistère msgrowi d'Hulst, hr. de Mun i Villiers nie pozwolono przywitać prezydenta przemową, gdyż obawiano się, że każdy z nich wypowiedziałby mowę nieprzychylną rządowi. Wręczyli oni jednak p. Faure'owi na piśmie memoryał w którym znajduje się taki ustęp:

„Ludność, którą reprezentujemy w ciele prawodawczem, nie odłączy nigdy miłości ojczyzny od swej wiary, która jest gwiazdą przewodnią jej życia. Spodziewa się więc, że rząd uszanuje to, co dla niej jest najdroższem: obrzędy religijne, chrześcijańskie szkoły, klasztory, którym tyle zawdzięcza. Oby te odwiedziny, któremi zwierzchnik państwa zaszczyca tę ludność, były rękojmią polityki wewnętrznego pokoju i prawdziwej swobody sumienia“.

Przyjęcie, jakiego doznaje w Bretanii p. Faure i towarzysząca mu drużyna dygnitarzy, jest wogóle dość chłodne. Tylko w miejscowowości Saint Malo było trochę owacyi, których powód jednak ma być specyalnej natury. Oto jak zapewniają jakiś figlarz zatartował sobie z wyborców tamtejszych i na kilka dni przed przybyciem p. Faure'a rozesłał do nich listy tej treści: „Miło mi zawiadomić pana, że z okazyi wizyty prezydenta odznaczony pan zostaniesz orderem legii honorowej“. Wyborcy więc, uważając się już za dekorowanych, chcieli okazać p. Faure'owi swą wdzięczność, tymczasem gorąco upragnionych orderów jak nie było tak nie ma.

Pisałem niedawno o grasującej obecnie we Francyi manii stawiania pomników. Stawiają tu pomniki ludziom zmarłym i żyjącym. Tak jakoś zapragnęli Francuzi wmówić w siebie, że mają mnóstwo wielkich ludzi. A tak przy tem są łatwowierni, że nawet nie zadają sobie trudu sprawdzić, czy osoba, której wznoszą pomnik, warta jest tego. To też zdarzyło się ostatnio

---

8)

Pomiędzy przyjaźnią a miłością

przez

M. LESCOTT.

Dziennik Piotra Dubois.

(Ciąg dalszy).

Goście ci, z których najmłodszy przekroczył już sześćdziesiątkę, obchodzili się z nią ze zwykłą galanteryą starców względem młodych i pięknych kobiet. Recytowali jej staroświeckie madrygały, a niektórzy przynosili jej cukierki. Wszyscy lubili ją niezmiernie. Kiedy smukła jej postać, pełna wdzięku, o harmonijnych ruchach i wielkich, słodkich, czarnych oczach, zjawiała się w posępnym salonie dwóch sędziwych arystokratek, zdawało się, że promień słońca rozgrzewał zakrzepłe serca. Posiadała ona taki dar czarowania wszystkich, że nawet gwałtowność Ofelii i skąpstwo Waleryi kapitulowały przed jej urokiem. Pełnia tryskającego z niej życia stanowiła taką sprzeczność z chłodnem i sztywnem jej otoczeniem, że wszyscy, mimo wiedzy ulegali jej wpływowi. Jakżeż mógłby był hrabia oprzeć się jemu?

Pewnego dnia, gdy mówił o nieuleczalnym swoim smutku, spostrzegł piękne wilgotne oczy panny do towarzystwa, skierowane ku sobie. Odtąd często jął szukać tego spojrzenia. Współczucie tej młodej sieroty było mu wielką pociechą w jego boleści; nie poczytywał sobie tego wcale za złe; nie rozmawiał z nią wcale, zamieniając zaledwie parę słów banalnej grzeczności, kiedy podawała mu filiżankę herbaty. Czasami, gdy inni goście niedopisali, siadywała naprzeciwko niego do partyi wista. Były to dla niej dni świąteczne. Podczas kiedy panny de Varsange biadały nad sprzeniewierzeniem się przyjaciół, ona z trudnością tłumiła swoją radość, zdradzającą się wybuchami srebrzystego śmiechu, kiedy szansa była po jej stronie.

Panna Ofelia gromiła ją, mówiąc: „Florciu, moja droga, zachowujesz się, jak źle wychowane dziecko“. Ale hrabia, który lubił tę młodzieńczą wesołość, byłby chętnie przegrywał naumyślnie, aby tylko słyszeć ten śmiech perlisty.

Zima miała się ku schyłkowi. Hrabia opowiadał zawsze o swoim smutku i byłby się bardzo zdziwił, gdyby mu kto powiedział, że ten o wiele już był lżejszy.

Pewnego dnia, gdy miał towarzyszyć kuzynkom na kazanie słynnego kaznodziei, nie stawił się w oznaczonej godzinie. Panny de Varsange, zaniepokojone, odjechały, zleciwszy Florencyi, aby, gdy nadejdzie, objaśniła go, gdzie ma je szukać.

Młoda dziewczyna była sama w salonie, gdy wszedł. Czytała list, od którego podniosła ku niemu oczy błyszczące łzami. Smutek tej mężnej sieroty poruszył go do głębi serca. Podczas kiedy zwięźle wywiązywała się ze zleceń panny de Varsange, hrabia nie spuszczał z niej wzroku.

— Co pani zrobili panno Florencyo? — spytał łagodnie. — Co pani jest?

— Wyjeżdżam — odparła — płaczę po tym domu, gdzie wszyscy byli dobrzy dla mnie.

— Wyjeżdżasz pani? — zawołał, zdjęty nagłą trwogą — wyjeżdżasz? I dokąd?

Ona podała mu list.

— Wydawało mi się — rzekła — że pan hrabia czujesz trochę życzliwości dla biednej sieroty, nie mającej nikogo na świecie. Czytaj więc pan i doradź mi, co mam zrobić.

Ale doradzca nie miał odwagi nakłaniać jej do przyjęcia korzystniejszego miejsca, które jej ofiarowywano u jakiejś ruskiej księżny. Przeciwnie, starał się dowieść jej, że nie powinna opuszczać domu, którego była światłem i weselem.

Ona odparła bardzo łagodnie:

— Zapominasz panie hrabio, że jestem ubogą i zmuszoną pracować na życie. Warunki zaś, które mi proponują, trzykroć przenoszą moją płacę tutejszą.

Wtedy on zaczął użalać się nad sobą. Po wielkiej stracie, którą poniósł, zaznał nareszcie nieco ukojenia, przyznawał to sam, w słodkiej zażyłości przyjaznych stosunków i tę znowu miał utracić teraz.

— O! wszak ja tak mało znaczę — broniła się Florencya. — Zostaną panu panny de Varsange.

On wzruszył ramionami.

— Odjechać... chcesz pani odjechać? — powtarzał. — Cóż my poczniemy bez pani?

Zaczęli na nowo dyskutować tę kwestyę, a tymczasem czas upływał, a oni oboje zapomnieli, że panny de Varsange czekają w kościele.

Naraz w chwili, gdy hrabia po raz dziesiąty powtarzał błagalnie: „Nie odjeżdżaj pani, nie opuszczaj nas...“ w progu salonu ukazały się dwie zasuszone postacie starych panien, które niepostrzeżone przez nikogo, zatrzymały się w obramowaniu portyery.

Cierpki głos, wołający: „Florencyo!“ wyrwał ich ostro z zapomnienia. Zerwali się oboje, jakby pochwyceni na gorącym jakimś uczynku.

Hrabia jął się tłómaczyć. Jakaś nieprzewidziana przeszkoda nie dozwoliła mu stawić się na czas w kościele; przyszedł tylko co przed chwilą i panna Florencya objaśniła go właśnie, gdzie ma szukać kuzynek, ale się plątał i mieszał pod badawczem i nieufnem spojrzeniem dwóch kobiet. Nie zatrzymały go one, jak zwykle, tego dnia na obiad, to też wieczorem nie ośmielił się zjawić powtórnie.

Tej nocy nie spał wcale. Myślał ciągle o tem, że Florencya, zbyt ostro zapewne zgromiona przez Ofelię, zdecyduje się niezawodnie na wyjazd. Powtarzał sobie: „Cóż mnie to obchodzi?“, nie mógł jednak zmrużyć oka.

Nazajutrz czekał zwykłego bileciku, w którym kuzynki jego przedstawiały mu projekta na dzień obecny; ale ten nie nadszedł wcale. Udał się do nich, woląc już z dwojga złego narazić się na scenę. Przyjęły go zimno, ale Florencya była obecna, pochylona, jak zwykle, nad krosnami. Ten widok uspokoił go. Czekał więc niecierpliwie, aby podano herbatę, przy czem mógłby zamienić z nią parę słów na osobności.

Gdy podeszła do niego z filiżanką w ręce, zapytał cicho:

— Cóżeś pani postanowiła?

Rzuciła mu spojrzenie, w którem wyczytał więcej czułości, niż współczucia.

— Zostanę — odparła krótko.

Jemu serce wezbrało wdzięcznością.

— Jakaś pani dobra... bardzo dobra! — odparł.

Z drugiego końca salonu Ofelia nie spuszczała z nich oka.

Powrócił do siebie uradowany. Zrozumiał, że dla niego jednego pozostała i odmówiła korzystnego miejsca. Przypomniał sobie jednak jej słowa: „Jestem ubogą i muszę pracować na życie.“ Jej poświęcenie wzruszało go, ale zarazem wprowadzało w kłopot. Jakim sposobem wynagrodzić ją za to? Wyjednać u panien de Varsange podwyższenie płacy było rzeczą wprost niepodobną. Sam zaś nie śmiałby nigdy ofiarować jej pieniędzy. Cóż więc począć?

Choć nie przyjmowano go tak serdecznie jak dawniej, co wieczora powracał do kuzynek. Zażyłość jego z Florencyą wzrastała z dniem każdym pod bazyliszkowem okiem starych panien. Przymus, jaki sobie zadawać musiał, nadawał więcej smaku zakazanemu owocowi. Żal mu zresztą było tej biednej dziewczyny, nad którą przewodził ostry głos imponującej Ofelii. Nie mogła nawet przejść koło niego, żeby despotyczna stara panna nie rozkazała zaraz: „Floro, chodź tu natychmiast!“

Tym sposobem upłynęły dwa tygodnie, podczas których nie mógł zamienić z nią ani jednego słowa. Pewnego wieczoru, doprowadzony do ostateczności, popełnił wielką nieostrożność. Odmówił partyi wista pod pozorem bólu głowy, i usiadłszy obok Florencyi, zapytał jej cicho, pod gniewnem spojrzeniem Ofelii:

— Cóż się dzieje?

Ona odparła również szeptem:

— Życie, które mnie zmuszają prowadzić tutaj, jest nieznośne. Gdyby nie przyrzeczenie, dane panu, wyjechałabym niezwłocznie.

Jego znów ogarnął przestrach, że ją może utracić.

— Błagam panią, bądź cierpliwą. Twoja słodycz rozbroi je wkońcu. Jestem ci tak nieskończenie wdzięczny!

Podniesiony głos Ofelii przerwał ich rozmowę:

— Floro, zechciej wziąć moje karty... Mam niektóre rozkazy do wydania.

Gdy nazajutrz hrabia o zwykłej porze wszedł do salonu, szukając wzrokiem Florencyi, drgnął ze wzruszenia, ujrzawszy na jej miejscu pochyloną nad krosnami kobietę obcą, niemłodą, o brzydkiej twarzy i spiczastych rysach.

— Czy panna Florencya chora? — zapytał zdjęty niepokojem.

— Flora wyjechała. Odprawiłyśmy ją, bo przestała nam być dogodną - krótko odparła panna Ofelia.

Nie śmiał zapytać o przyczynę tej nagłej odprawy, ani o miejsce, dokąd się udała sierota, bo czuł zjadliwy wzrok kuzynki, sięgający aż na dno jego duszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tnimi dniami, że jeden z niezliczonych komitetów pomnikowych omal nie padł ofiarą oszustwa. Umarła bowiem w Vichy 73 letnia kabylka, znana pod nazwiskiem „matki Ibrahim“. Żyła ona z żebraniny, aby zaś więcej wyżebrać, rozpowiadała, że była markietanką w drugim pułku żuawów, że odbyła liczne kampanie: na Krymie, we Włoszech, w Meksyku, Tunisie i Tonkinie, że pod Solferino została raniona, że nawet odznaczona została krzyżem legii honorowej. Po jej śmierci zawiązał się zaraz komitet celem uczczenia jej pamięci. Na pogrzebie wystąpił oddział wojska, czterej podoficerowie nieśli całun, nad grobem wypowiedziano aż dwie mowy: jedną wygłosił pewien kapitan imieniem armii, a drugą członek Towarzystwa weteranów; wreszcie wydano odezwę, wzywającą do składek na pomnik dzielnej markietanki. Już zaczęły napływać datki, gdy w tem pokazało się, że zmarła była prostą oszustką. Oficerowie drugiego pułku żuawów, stojącego załogą w Algierze, wyczytawszy opisy wspaniałego pogrzebu ich niegdyś pułkowej markietanki, nadesłali pismo, w którem oświadczają, że nigdy w ich pułku podobna kabylka markietanką nie była.

Pojawiło się tu zajmujące studyum o szulerni w Monte-Carlo. Autorem jest niejaki Bergner. Udowadnia on w sposób niezbity, że chociaż zdarza się czasami, że ten i ów gracz ma chwile szczęśliwe, w których wygrywa znaczne sumy, to jednak w rezultacie zawsze bank wygrać musi. Przewaga banku nad graczem jest stanowcza. Przedewszystkiem gracz jest rozdrażniony, rozgorączkowany, maszyna zaś bankowa funkcyonuje regularnie, zimno i bezwzględnie. Wedle rachunku prawdopodobieństwa musi bank na 37 stawek raz wygrać i to wygrać dużo, gdyż jeżeli kulka ruletty padnie na zero, wówczas przypadają na korzyść banku stawki zrobione na wszystkich 36 numerów. Nawet chwilowa wygrana gracza nie jest dla banku stratą, gdyż taki szczęśliwiec nie ma na tyle siły, by przestać grać, lecz zawsze wraca do szulerni i wszystko przegrywa. Co minutę jest nowa stawka, a ponieważ gra odbywa się przez dziesięć godzin, przeto z sześciuset stawek zrobiony h na jednym stole, musi bank na samem zerze wygrać dziennie przynajmniej 18 stawek, a zatem 3 p. ct. wszystkich postawionych pieniędzy. Przypuśćmy, że przy każdej stawce znajduje się tylko 500 franków na stole i że bank tylko 3 proc. wygrywa, — to okaże się, że wygrywa on 15 franków na minutę, 900 na godzinę, 9000 dziennie, 270.000 miesięcznie, a 3.240.000 rocznie i to tylko przy jednym stole, a stołów takich jest nieraz wśród ożywionego sezonu dziesięć. Kto tylko rozumie się na prawidłach matematyki, ten pojmie, że nie może istnieć żaden system wygrania, choćby dla tego tylko, że przez ustawiczne podwajanie stawek nie można powetować kilku lub kilkunastu przegranych, gdyż bank nie przyjmuje jednorazowych wyższych stawek nad 6.000 w rulecie a 12.000 w „trente et quarente“. Kto zatem przegrawszy 5 franków chciałby ustawicznem podwajaniem stawek odegrać tych 5 franków, ten już po 11-tym rzucie przegra 10.235 franków i nie ma możności odegrania ich, gdyż tak wysokiej stawki bank nie przyjmie. To też nie było człowieka, któryby zatrzymał wygrane pieniądze. Niejaki Wells raz wygrał 100.000 franków, atoli w następnej godzinie przegrał tę całą wygranę i własnych 25.000. Tego, co raz wpadło w paszczę banku, odebrać niepodobna.

Jeden tylko podobny wypadek zna kronika tej szulerni. Oto kapitan amerykańskiego okrętu wojennego, zawinąwszy do portu Monaco udał się do szulerni i w ciągu kwadransa przegrał 25.000 franków, do tego nie własnych, tylko okrętowych. Niejeden na jego miejscu byłby sobie w łeb palnął; Amerykanin jednak postąpił inaczej. Udał się na pokład, kazał podnieść kotwicę, wymierzył działa wprost na szulernię i zawiadomił jej dyrekcyę, że jeśli ona w ciągu godziny nie zwróci mu przegranych pieniędzy, wówczas on zbombarduje cały bank. Zwołano dyrekcyę na posiedzenie i o pół godziny wcześniej niż żądał kapitan, zwrócono mu 25.000 franków. Tak jednak może postąpić tylko desperat, mający okręt wojenny do dyspozycyi. Pewien krupier, który od kilkudziesięciu lat zatrudniony jest przy grze i widział tysiące szczęśliwych i nieszczęśliwych graczy, rzekł do pana Bergner: „Jeden tylko jest system, za pomocą którego można zostać bogatym, a ten system polega na tem, aby nigdy nie grać w Monaco“.

Na liście ostatnich dekoracyi na kawalerów legii honorowej znajduje się jedno nazwisko Polaka, p. Jana Finkelhausa, Warszawianina. Udekorowany on został za zasługi literackie.

P. Finkelhaus od lat kilku osiedlił się na stałe w Paryżu i założył tu dwutygodnik p. t. *Revue des Revues*, który doprowadził do kwitnącego stanu i gdzie sam pisuje interesujące artykuły pod pseudonimem Jean'a Finot'a. W tym *Przeglądzie Przeglądów* stale się spotkać możemy z informacyami o naszym ruchu literackim, z treścią miesięczników naszych: *Przeglądu Polskiego*, *Ateneum* i *Biblioteki Warszawskiej*, i z doskonałemi przekładami z naszych pisarzy. W ostatnich czasach *Revue* podała nowele Sienkiewicza, Orzeszkowej, Sieroszewskiego i Kosiakiewicza.

Stosunki amerykańskie.

List jenerała OO. Zmartwychwstańców ks. Smolikowskiego do „Czasu“.

To, co opowiedziano o odpoczynku niedzielnym, że nawet stacye kolei żelaznej i biura telegraficzne i pocztowe są w niedzielę zamknięte, a dodam: i tramwaje nie kursują, chyba te, co przewożą ludzi do kościołów odległych — to wszystko rzeczywiście widziałem, ale tylko w Kanadzie. Niemniej prawdą jest, że w całej Ameryce północnej uszanowanie dla religii mają wielkie. W Waszyngtonie obrady parlamentarne zaczynają od modlitwy, do której odmówienia prezydent Stanów Zjednoczonych zaprasza kapłana katolickiego. Na ulicach nie widać nic takiego, coby obrażało uczucie przyzwoitości. Podobno w Nowym Yorku od czasu do czasu chodzi kapłan katolicki z policyantem po mieście i wskazuje temu, coby należało usunąć. Mówiono mi, że na wystawę chicagowską nie przyjęto z Europy przysłanych niektórych obrazów. W restauracyach nie widać innych wizerunków, jak tylko bardzo przyzwoite i poważne. „Żadna lady inaczej nigdy nie weszłaby do restauracyi“ — powiedziano mi. Kapłana w całej Ameryce nadzwyczaj szanują, a osobliwie kapłana katolickiego. W ciągu mego tam pobytu, odwiedzając nasze misye, musiałem przejeżdżać ogromne przestrzenie. Otóż prawie zawsze miałem bilet jazdy albo darmo, albo za pół ceny, jedynie dlatego, że jestem *clergyman* (kapłan). Postów katolickich nikt tam nie wyśmiewa, ani się im dziwi. W restauracyach na kolejach nie ma wyboru potraw; są jedne dla wszystkich. Całe śniadanie, cały obiad odrazu przed gościem stawiają, nie pytając, czego sobie życzy. Otóż w wielu miejscach kapłanowi katolickiemu dają w piątek potrawy postne. A jeśli tego nie uczynią, dość powiedzieć, że się jestem, zaraz zabierają mięso, a przynoszą ryby i jaja. Ta religijność często nie jest właściwie religijnością, bo i między Amerykanami wielu jest niewierzących. Pochodzi ona nieraz w części z uszanowania dla władzy, które Amerykanie mają w wysokim stopniu, a które sprawia, że chętnie widzą, gdy kto przestrzega przepisy Kościoła — w części z miłości wolności, która znowu każe zostawić każdemu zupełną swobodę.

Amerykę zowią krajem wolności i słusznie. Można powiedzieć, że w Ameryce jest prawdziwa wolność i że tam ją, jak trzeba, rozumieją; i to właśnie wszystkich tak do Ameryki przywiązuje. Wracając do Europy na statku, zbliżyłem się do starego chłopa słowackiego, wracającego do Węgier, aby, jak mówił, w ojczyźnie złożyć swe kości. Pytałem, czy mu źle było w Ameryce? — „O, gdzie tam! tylko w Ameryce jest prawda (sprawiedliwość)“ — odpowiedział z mocnem przekonaniem. I w samej rzeczy, w Europie wolność jest w wielu krajach dla jednej tylko partyi, tej, która jest u steru rządu; dla innych nie ma tam sprawiedliwości ni wolności. Przykładem tego takie wolne kraje, jak Francya, Włochy. W Ameryce przeciwnie: wolność jest dla wszystkich. Amerykanin nie zniesie, aby wolność była uciśniona nawet w przeciwniku politycznym. Stanie wtedy w jego obronie. Zacytuję tutaj najświeższy wypadek, który charakteryzuje Amerykanów. — Ostatnia legislatura stanu Illinois uchwaliła była prawo, aby na każdej szkole, publicznej czy prywatnej, powiewała chorągiew amerykańska. Powód do tego był, że szkoły wychowywały dzieci amerykańskie, to jest urodzone w Ameryce, na Polaków, Niemców i t. d., a nie na Amerykanów. Miała więc ta chorągiew być niejako zatwierdzeniem praw Ameryki. Ale i to nawet wydało się pogwałceniem wolności, i teraz świeżo prawo to uznano jako przeciwne duchowi konstytucyi Stanów Zjednoczonych.

Jest wprawdzie i w Ameryce partya, dążąca do kulturkampfu, wymierzona naturalnie przeciwko katolikom. Są to *Episci*, od trzech liter A, P, A, (American Protective Association) nazwani. Ale dotychczas oni miru u Amerykanów nie mają. — Podobno Mac Kinley, kandydat obecny na prezydenta, do tej partyi należy. Przynajmniej w dziennikach stronnicy jego starali się koniecznie go od tego zarzutu oczyścić, z obawy, by przez to nie stał się niepopularnym. Dowód to, jak mało znaczą Episci.

Kościół katolicki cieszy się dotychczas sympatyą powszechną. Polacy z niej korzystają i w Chicago urządzają corocznie wspaniałą procesyę na Boże Ciało po ulicach, w czasie której ruch kolei żelaznej miejskiej i tramwajów wstrzymany, co w Ameryce wiele znaczy. Widziałem w Detroit, jak wojsko na ulicy się szykowało i musiało ciągle zmieniać pozycye ustępując tramwajom, które ani chwili się nie zatrzymywały. Czy ta wolność dla Kościoła potrwa długo, nie wiemy — powiada mi jeden z księży amerykańskich — ale tak, jak dziś jest, jest nam bardzo dobrze i nie możemy sobie innego życzyć. Dziwnie też, jak wszyscy, co tylko w Ameryce choć krótko pobyli, Amerykę kochają. Jak przyjedziesz z Europy, to cię zaraz każdy pyta, jak ci się podoba Ameryka i zadowolony jest, kiedy ją chwalisz. — To było też pierwsze pytanie, jakie mi uczynił X. kardynał Satolli w Waszyngtonie. A kto się urodził w Ameryce, ma sobie za zaszczyt, iż może się nazwać Amerykaninem. Jeśli nim jest Irlandczyk, obraża się, gdy go kto nazwie Irlandczykiem. „Kochamy nasz kraj, z którego my wyszli — powiadał mi jeden z nich — pamiętamy go, ale się prawdziwymi jesteśmy Amerykanami“.

Nawet Polak, w którym tak silne uczucie polskie, odzywa się: „jestem Polak ale amerykański“ — [illegible] *American boy*. [illegible] Amerykanie wyrzeczenia się narodowości od nas nie wymagają. „Cieszę się — mówił mi [illegible] X. Biskup Foley do seminarzystów polskich w Detroit — [illegible]“.

Jak stoją Polacy w Ameryce pod względem narodowym i religijnym, dostatecznie w korespondencyach poprzednio opisano; to dodam parę szczegółów i parę uwag. [illegible] P. Modest Maryański, który w amerykańskich polskich dziennikach, bardzo rozumne robi spostrzeżenia, [illegible] Chłop nasz, trochę się poduczywszy, [illegible] Tam przeciwnie. Taki p. Kiołbassa, notaryusz, niedawno skarbnik miasta Chicago, znakomity pod każdym względem obywatel, tem się publicznie szczycił, że „my ludzie prości, pracą tego, co mamy i czem jesteśmy, dorobiliśmy się.“ Amerykanie żadnej pracy się nie wstydzą. Straci kto jaki urząd, jakie miejsce, nie zakłada rąk i nie mrze z głodu, wstydząc się żebrać, ale szuka sobie jakiejś innej pracy. Pójdzie do fabryki, będzie do czasu choćby kamienie nosił; żona jego lub córka, jeśli także nie do fabryki, to się najmie do restauracyi za usługującą i nikt tego za złe im nie weźmie. Byłem zdziwiony widząc w restauracyach z taką powagą i dystynkcyą usługujące niewiasty. Powiedziano mi, że między niemi są osoby z bardzo dobrych domów, które tym sposobem zarabiają. Pracują też tam i Polacy bardzo, a pracują wszyscy.

Trzeba np. przyjrzeć się pracy parafialnej plebanów tamtejszych! Mówił mi jeden z dawnych alumnów kolegium polskiego, który już w kraju jakiś czas zastępował swego proboszcza, że praca parafialna w Europie nie da się nawet porównać z pracą parafialną w Ameryce. To też księża polscy dokonali w Ameryce prawdziwie wielkich rzeczy. Żal serce ściska, kiedy się tam dopiero przekonywa, jak niesłusznie duchowieństwo polskie amerykańskie jest osądzane w Europie, gdzie wiedzą coś o nas Zmartwychwstańcach, z tego, co pisywali w swych listach ks. Kajsiewicz i ks. Przewłocki, i słyszą o złych księżach, którzy wywołują schyzmy. O dobrych, gorliwych księżach świeckich nic się nie wie, bo nikt o nich nie pisze, a oni pracują w cichości. Prawda, że w ostatnich czasach do osławienia duchowieństwa polskiego w Ameryce przyczyniły się częste schyzmy. Lecz czegoż one dowodzą? Że schyzma tam wychodzi, bo wszelką ma do tego w Ameryce wolność, to nic dziwnego: trzeba wiedzieć jak reszta duchowieństwa z tem złem walczy i według tego dopiero sądzić o całem duchowieństwie. „Wy tam macie jednego Stojałowskiego — powiedziano mi w Ameryce — i rząd wam pomaga, a rady sobie z nim dać nie możecie. My mamy tu takich kilku, jednak powoli dajemy sobie z nimi radę“. Fakt jest, że schyzmy te ograniczają się do małej tylko liczby uwiedzionych, nieświadomych. Lud nasz mało jest oświecony, ma wielką cześć i zaufanie do swego księdza i wierzy mu ślepo. Powiadam: do swego, to jest do polskiego księdza; bo obcym nie dowierza. W tem jest brak pewien uczucia katolickiego i pod tym względem stoimy niżej np. od Irlandczyków, którzy każdego księdza katolickiego szanują. W New-Yorku na ulicy [illegible] mi się ktoś kłaniał. Pytałem, kto to był taki? To z pewnością Irlandczyk, odpowiadano. Gdy więc taki ksiądz polski, jak X. Kozłowski w Chicago, powie ludziom, że biskupa nie słucha, bo biskup jest tylko Irlandczyk, a więc nie ma praw do Polaków; gdy z ambony przeczyta niby przez siebie ułożone listy Ojca św. do niego pisane, w których Papież go chwali za to, a tercyarkom św. Franciszka opowiada o swych widzeniach i rozmowach ze św. Franciszkiem, lud ciemny wszystkiemu wierzy i ma go za świętego. Ale takie rzeczy muszą się skończyć, bo w końcu lud przejrzy. Jeden z księży irlandzkich opowiadał mi, że podobne schyzmy i między nimi w początkach bywały z Niemcami. Nie było dość księży na tylu emigrantów; biskupi musieli brać każdego, kto się nawinął, a przychodzili sami najgorsi. Zupełnie tak samo jak u nas, i u nas więc wszystko się uspokoi. Dziś Propaganda wydała rozporządzenie amerykańskim biskupom, aby nie przyjmowali żadnego Polaka, kleryka czy księdza, bez poprzedniego odniesienia się do niej, a Propaganda podejmuje się zasięgnąć potrzebnych informacyi. To najskuteczniej zapobiegnie dalszym schyzmom. Tymczasem te, które są jeszcze, to przynajmniej, zdaje mi się, tak działają dobrze, że się przyczyniają do utwierdzenia się w wierze ludu polskiego. Utwierdziło mnie w tem przekonaniu, kiedym słyszał przemowę jednego z obywateli chicagoskich, szewca z profesyi, mianą z okazyi jednej uroczystości. Mowa jego była bardzo prosta, ale dziwnie piękna. Opisywał on dobre czasy dla Polaków w Chicago, kiedy jeszcze schyzm nie było, a potem z takiem uczuciem schyzmę odmalował, że i mnie rozrzewnił i wszystkich obecnych do łez [illegible]. „Mówią nam — rzekł w końcu — że my biskupów słuchać nie mamy, bo to Irlandczycy, powiedzą może, że i Papieża słuchać nie trzeba, bo on Włoch — stworzy się naostatek jakąś wiarę nową, wiarę polską!“

Aby dać jakieś wyobrażenie pracy parafialnej w Ameryce, chcę tu na końcu wyliczyć to, co się robi w parafii św. Stanisława Kostki; to i największa to parafia (liczy około 50.000 dusz) i mieszkając przy niej, miałem sposobność lepiej przyjrzeć się wszystkiemu. Ciągłe tam spowiedzi i komunie. Do chorych wciąż wołają, tem więcej, że Polak tak się boi umrzeć bez Sakramentów, że trochę ciężej zachorowawszy, zaraz posyła po księdza. Szkoła parafialna liczy około 4000 dzieci. Za mojego pobytu przygotowywano dzieci do pierwszej Komunii. Było ich 500. Obok ogromnego i pięknego kościoła jest również wielka szkoła. Tam są klasy dla szkoły parafialnej, klasy dla formującego się gimnazyum, które także nie kto inny, tylko księża prowadzić muszą. Są w szkole sale dla odbywania mityngów. Trzeba bowiem wiedzieć, że jest przeszło 30 Towarzystw w parafii św. Stanisława, a każde Towarzystwo raz na miesiąc co najmniej ma swoje posiedzenie czyli mityng. I znowu nie kto inny, tylko proboszcz, jest duszą owych mityngów. Znajduje się w szkole sala dla śpiewaków, dla prób chóru parafialnego. Jest wreszcie ogromna sala, jak cały gmach szkolny dla przedstawień dramatycznych. Byłem na jednem takiem przedstawieniu i wyszedłem zachwycony, bom się nie spodziewał znaleźć tyle wykończenia, tyle prawdziwego talentu. Prawda, że do Towarzystwa dramatycznego należą osoby także z wyższych klas, jakbyśmy w Europie powiedzieli: Pani Kwasigroch, córka p. Kiołbassy, p. Jóźwiakowski z żoną i niektórzy inni. Grali wyśmienicie; to mię nie dziwiło. Chór prowadził p. Kwasigroch, reżyserem był p. Zahajkiewicz, obaj już do Ameryki przybyli z odpowiedniem wykształceniem, a p. Zahajkiewicz już we Lwowie znany był, jako uzdolniony pisarz. Ale ogół, są to robotnicy, po większej części we fabrykach pracujący, którzy przychodzą do szkoły naszej wieczorami, po całodziennej pracy ćwiczyć się w śpiewie i odbywać próby. Tu także główną dyrekcyę dają księża. W Ameryce kapłani muszą nawet teatrem się zajmować. Czy to rzecz odpowiednia? — pomyślałem sobie. W Ameryce nikogo to nie razi, a kto zna stosunki tamtejsze, musi uznać to nawet za konieczne. Trzeba bowiem zważyć, ile przez to dobrego się robi. Sztuki, które grywają, są pod cenzurą księży. Przedstawiają się utwory nietylko moralne, ale podnoszące uczucia religijne, a co więcej, wyrabiające pewne zasady religijne. Jest to więc rozrywka, która odrywa od innych rozrywek, a kształci nie pomału.

Ks. Paweł Smolikowski.

Ułatwienie sprzedaży kainitu.

(*Komunikat Kr. Dyr. Skarbu*).

Ministeryum Skarbu wydało reskryptem z dnia 29 lipca 1896 l. 37,310 zarządzenie co do drobnej sprzedaży kainitu z kopalni kałuskiej. Zarządzenie to ułatwia nabywanie tego środka nawozowego przez gospodarzy rolnych. Dotychczas nabywanie kainitu w większych ilościach z kopalni kałuskiej i sprzedaż go gospodarzom rolnym, dozwoloną były tylko zatwierdzonym przez rząd korporacyom rolniczo-gospodarskim i firmom handlowym, trudniącym się wyłącznie handlem środkami nawozowymi; obecnie mogą uzyskać zezwolenie na drobną sprzedaż kainitu wszystkie zupełnie zaufania godne firmy handlowe z wyjątkiem tych, które trudnią się handlem solą.

Trudniących się drobną sprzedażą kainitu obowiązują następujące przepisy: Przedewszystkiem wolno im sprzedawać nabyty kainit wyłącznie tylko rzeczywistym gospodarzom rolnym i to tylko tym, którzy nie handlują solą. Korporacye rolniczo-gospodarskie i firmy handlowe, trudniące się drobną sprzedażą kainitu, uważane będą na równi z przedsiębiorstwami przemysłowemi, stojącemi pod kontrolą skarbową. Przepisy ordynacyi celnej i monopolowej z roku 1835, oraz instrukcye wykonawcze, odnoszą się także do korporacyi i firm sprzedających kainit.

Będą one obowiązane prowadzić dokładne zapiski o kainicie nabywanym z Kałusza i sprzedawanym rzeczywistym gospodarzom rolnym.

Osobom, które za nadużycia popełnione z nabytym kainitem były karane, kainitu sprzedawać nie wolno. Osoby te wskaże władza skarbowa korporacyom gospodarczym i firmom handlowym.

Podobnie jak gospodarze rolni, nabywający kainit wprost z Kałusza, muszą i ci gospodarze rolni, którzy kainit kupować będą od wspomnianych korporacyi i od firm handlowych, zobowiązać się pisemnie, że tego kainitu użyją wyłącznie do nawożenia gleby we własnem gospodarstwie i nie odstąpią go nikomu ani za wynagrodzeniem, ani bezpłatnie.

Nadużycie lub niestosowanie się do powyższych postanowień sprowadzi na korporacye i firmy handlowe nietylko skutki dochodzenia karnego, ale także niezwłoczną utratę prawa sprzedaży kainitu.

Ubiegający się o zezwolenie na drobną sprzedaż kainitu z Kałusza obowiązani są wnieść podania do krajowej Dyrekcyi skarbu przez swoją Dyrekcyę okręgu skarbowego.

KRONIKA.

Lwów 12 sierpnia.

Minister kolei żelaznych bawił w poniedziałek po południu w Podwołoczyskach, skąd po jednogodzinnym pobycie udał się do Tarnopola, a przeprowadziwszy tam lustracyę urzędów i urządzeń kolejowych, odjechał wieczorem do Lwowa. P. minister zamieszkał na noc w mieście naszem w hotelu Imperial, a we wtorek rano udał się w dalszą podróż inspekcyjną do Stanisławowa. Lustracya sta-

2)

„PRO MEMORIA“.

(Dokończenie).

7-my lutego. „Mrozu stopni 20 rachuje gorzelany. Zmarł pan Marcin Rawicki. Jadę na stypę. Owce padną na motylicę. Pszenica sypie 2 korce z kopy. Monika gryzie się Józefem i niedomaga“.

12-ty lutego. „Chrzanu nie przetrzesz — baby nie przeprzesz! Jadę po Józefa. Zaleski napomyka, że mu młodszą córkę da! Może i racyę ma jejmość. Biorę z sobą Ignacego, Jana, Rafała, brykę, kasztany — no i wóz z leguminami dla ojców Pijarów! Cierpieli tego błazna całe trzy lata. Bóg im to nagrodzi! Sto dukatów w sepeciku!“

20 ty lutego. „Przywiozłem tedy chłopca. Wąsy ma, włosy w lokach, kamizelka w kwiatki, buty jak kasztelanic. Mało oleju w głowie, a wiele much w nosie“.

24-ty lutego. „Monika desperuje. Józef nie chce ani się żenić ani pracować — chce do wojska — do ułanów. Zupełnie głupi i skończony urwipołeć. Przywiózł ze sobą flet i gitarę. Mnie się zdaje, że zerka na Bronisię, naszą wychowanicę. Jeszczem tego Monice nie mówił. Zaślepiona i zbuntowana przez błazna! Ale jak go dopilnuję, będzie lanie! Cóż to, że mi o tem nie mówiono w konwikcie? Prawda, nie było tam okazyi“.

1-go marca. „Paszkowski wrócił. Woły sprzedał w Ratnem. Dobrze zrobił! Dałem mu za to dziesięć złotych i skórek owczych na kożuszek. Józef chodzi z flintą na ptaszki, a wieczorem śpiewa niedaleko fraucymeru. Że też Monika tego nie słyszy! Podobno, że błazen narzeka na los i na mnie i chce użyć życia i młodości. Hodowałem go na to, aha! Zaraz, niechno się ośmieli co bąknąć! Ten chłopiec truje mi życie, wczoraj kazałem sobie krew puszczać i Mordko dekokt mi zaleci“.

4 go marca. „Jeździłem na sądy. Wygrałem sprawę o klepkę z tym Niemcem — przysądzono mi 47 złotych, ale Spendowski wziął za obronę po wielkim targu 75 złote i trzy beczki owsa. Ano postawiłem na swojem.

Kupiłem Monice racymory u tatara, ale powiada, że mnie oszukali. Kobietom nigdy nie dogodzisz“.

10-go marca. „Przyleciały skowronki. Był na maryaszu Zaleski, przebąkiwał o córce, ale Józefa nie było w pokoju. Mnie się zdaje, że on skorzystał z mego zajęcia i smalił cholewki do Benisi. Przy wieczerzy obojgu im źle z oczu patrzało! Rany Pańskie — jaka to młodzież teraz! Ni to do rady, ni do pracy, ni do myśli. Bąki zbijać, wodę palić, w głowie wiatr, w kieszeni wiatr, w sercu wiatr. Za naszych czasów inny rygor był, ano — i my lepsi byli“.

15 go marca. „Stało się, com myślał. Monika zastąpiła mnie dzisiaj! Tyran jesteś! Ja? Okrutnik! Ja? Wyrodny ojciec! Ja? Opamiętaj się kobieto! Toć trzydzieści lat żyjemy z sobą — a ty mi to dzisiaj powiadasz.

„Ale co to! Niewieście do rozsądku mówić, to jak cyganowi do sumienia. Co prawda — ja swej jejmości zawsze słucham, ale wedle przykazania swój rozum mam.

„Więc tedy woła: Zabijasz mi dziecko! Toć i moje. Żywcem go w grób tu grzebiesz! Najbiedniejszy coś ma — a on co!

„Ma to, co i ja. Niech statkuje i pracuje. A ona na to: Co się *jegomość* do niego równasz.

„Powiedziała mi: jegomość — to źle! Przypomnij swoje młode lata. Ileś ty krajów, ile cudów widział — jak się bawił i szalał. Trzymał cię ojciec jak dziewczynę przy pasie?

„Pracowałeś ty, statkowałeś?

„Inne czasy były — *jejmość* (rzekę jej „jejmość“ za tego „jegomości“), teraz nie ma gdzie hulać i na cuda patrzeć też nie ma!

„Inne czasy, inne czasy — ale lata te same jego, co twoje wtedy — ona mi prędko odpowiada. Chłopcu się swobody i młodości część należy, piwo wyszumieć musi, między ludźmi trzeba mu się otrzeć — świata zobaczyć.

„Co — wołam już w pasyi — więc on ma mi fortunę zjeść, krwawicę przetrwonić?

„Zje i przetrwoni, skoro nie dasz młodym latom woli. Chcesz, żeby twojej śmierci wyglądał? Charakter żeby popsuł, żółcią się napełnił?

„A ty chcesz, żeby ci Benisię zbałamucił?

„Nieprawda!

„Jakto — nie prawda — ano to spytaj go, zkąd tę sakiewkę karmazynową ma z dwoma srebrnemi serduszkami na końcu. Możeś to ty ją wydłubała szydełkiem?

„Monika tedy umilkła, przenikliwością moją skonfundowana, ale wnet zaszła mnie z tego samego argumentu.

„A choćby i tak było, kto winien, ty! Jeśli sierota krzywdy jakiej w naszym domu dozna, ty na sumienie weźmiesz! Chłopcu z nudy i niewoli złe myśli przychodzą, krew nie woda. Może się stać nieszczęście. Ale ja czysta będę w sumieniu, ostrzegałam ciebie. Zgubisz dwie dusze!

„Jezu Nazareński, ona ma racyę! Ten błazen ten, pustak, ten hultaj, może mnie przed Bogiem zbłaźnić. Bo i prawda, kto za cnotę domu odpowiada? a no ja, to jest ja i Monika. Posłałem zaraz po Mordkę bo czułem, że mnie krew zaleje, i więcej już tego dnia o tej kwestyi gadać nie chciałem. Doczekaliśmy się ładnych czasów, wyhodowaliśmy piękne pokolenie! O Jezu, o Jezu, świat się rychło z taką młodzieżą zapadnie!“

17 go marca. „Żem uczciwy człowiek, prawy katolik i nieszczęśliwy, takiem dzieckiem pokarany ojciec, więc, że mi Bóg taki, a nie inny krzyż naznaczył, więc go podjąłem i dźwigam. Z Józefem gadać nie chciałem, bobym się pewnie uniósł, a dekokt piję i Mordko zaleca spokój. Z Moniką zdecydowałem swą ruinę majątkową przez tego wyrodnego syna. Stanęło na tem. Po Wielkiejnocy puszczam chłopca w świat, tymczasem ekwipować go muszę. Zleciał się już na stypę moich pieniędzy cały kahał żydów: ci krają, ci szyją, tamci mierzą. Granatowy frak ze złotemi guzami, same jedwabie i aksamity! Chłopiec, powiadają, tak się obdarł, że nawet chustki na szyję nie ma. To wszystko egzageracya kobieca, ale co robić, krzyż taki Bóg dał. Sepety wypróżniłem. Restaurują najtyczankę, szory, najlepsze cztery siwki zabrali mi ze stada. Jak ten błazen je wypatrzył! Będzie miał oko do koni! Oddałem mu też Grzesia i Florka, najsprawniejszych chwatów. Gotówką wydałem 150 złotych. Monika mówi, że mu na drogę ledwie starczy 50 dukatów. To kłamstwo! Kiedym z domu szedł w jego latach, dostałem jednego konia, także był siwy, jednego człowieka — nieboszczyk Tomek, i 14 dukatów! No i schodziłem z tem całą Europę! To też ja myślę i Józefowi więcej nie dać! Ja myślę, ale Monika twierdzi, że teraz wszystko zdrożało i popsuło się. Świat się popsuł, ludzie skapcanieli, no, a już co młodzież, to i w czasie zburzenia Kartagi gorszej nie było. Świat się cofa, cofa, zaraz się skończy“.

12-go kwietnia. „Józef wyjechał. Zdecydowane jest, że w jesieni ożeni się z Hortunią Zaleską! Ale czy on jesieni doczeka, gotów z awanturnicą jaką tajemny ślub zawrzeć. Pobłogosławiłem go i dałem te 50 dukatów! Niech piją moją krew, niech ja nic nie mam na sumieniu. Zaraz po jego odjeździe kazałem sobie przynieść jego flet i gitarę — spalić chciałem. No, i nigdzie nie znaleźli, chociaż z sobą nie wziął. Kto wie, czy Benisia tego sobie nie schowała na pamiątkę, może on jej darował za tę sakiewkę. Monika protestuje, ale ja wszystkiego się po takiej młodzieży spodziewam!“ —

Czytający, zeszyt opuścił na stół i, z oczami szeroko rozwartemi, nieruchomy pozostał.

Okulary zsunęły mu się na koniec nosa, ale on tego nie spostrzegał. Twarz jego wyrażała bezmierne osłupienie i niepewność. Potem, obyczajem starych ludzi, zaczął z sobą rozmawiać, zrazu mrucząc pod wąsem, potem coraz wyraźniej:

— 1848? Toć wtedy Jasia nie było na świecie. Był Józef, ano, był. Józef, to ja nieprawda? Co za głupstwo! Albom ja fundusz stracił? Albom ja nie pracował, nie statkował!

Rodzic mi na ręku zgasł, matce powieki zawarłem! Krzyżem mnie żegnali, błogosławili. Prawda, że to później było. Pomarli oboje w roku 1870-ym. Hortunia wtedy Jasia karmiła. Późno się ożeniłem i ledwie się starzy wnuka doczekali. Ach, wnuka! Dobrze, iż go teraz nie widzą! A może i szkoda? Możeby Hortunia żyła i on inaczej się pokierował...

Granatowy frak, najtyczanka, pięćdziesiąt dukatów, Benisia, flet, ojcowie z konwiktu... To czasy były, czasy! Jaś ich nie widział, Jaś jedenaście lat w szkołach był, tyle świata widział tylko. A potem wrócił blady, nędzny! I zaraz do roboty się wziął i już nigdy bez troski nie zasnął. Żeby go dziadek zobaczył! Nie Benisia i flet jemu w głowie, ale zgryzota i trud.

Ze stada koników nie wybierze, bo stada nie ma; nie uszyją mu fraka, bo nie ma za co, nie dadzą pięćdziesiąt dukatów, bo jeden jest na pamiątkę.. Ha, no, Jaś niby młody, a nawet nie kocha... Żeby go dziadek zobaczył!.. Józef był lepszy od Jasia, lepszy!..

Długą chwilę milczał. Starzy nie lubią młodym ustępować, nie lubią zdań zmieniać.

W tem milczeniu rysy starca powlekła zgodna miłość i litość bezmierna.

Powoli, wahająco zakończył.

Świat się nie cofa, ale i nie postępuje. Świat stoi w miejscu, a tylko ludzie teraz twardsi. Trzeba ich biednych nie sądzić, lecz tylko kochać! Biedny mój Jasiek! — — —

Marya Rodziewiczówna.

nisławowskiej dyrekcyi zajęła cały dzień wczorajszy. Tam też przenocował p. Gutenberg, a dzisiaj rano udał się do Buczacza, potem zwiedzi Husiatyn, noc zaś spędzi znów w Stanisławowie. Dalszy program podróży p. ministra obejmuje Czerniowce, dokąd udaje się jutro rano, następnie zaś Stryj, Drohobycz, Borysław, Chyrów, Jasło, Suchą, Skawinę i Oświęcim. Z Oświęcimia wyjedzie p. minister w niedzielę, dnia 16 b. m., wieczorem do Wiednia.

Nowe starostwa w Podgórzu i Strzyżowie wejdą w życie z dniem 15 września b. r. Okręg podgórski składać się będzie z powiatów sądowych: Podgórze i Skawina, zaś okręg starostwa strzyżowskiego z okręgów sądowych: Strzyżów i Frysztak.

Mianowania. Starostami mianowani sekretarze namiestnictwa: Władysław Pizar, Edward hr. Starzeński, Bogumił Szeligowski i sekretarz ministeryalny Stanisław Zi[illegible]ny.

Sekretarzami namiestnictwa mianowani: Jan Winiarski, Paweł Derenowski i Stanisław Ustyanowski.

Dyrektorem dla prowadzenia ksiąg gruntowych przy sądzie krajowym we Lwowie mianowany został Ludwik Dylski, a jego zastępcą Józef Biskup.

Zjazd w Wieliczce. Z powodu przypadającej we wtorek 66 rocznicy urodzin Cesarza Franciszka Józefa, kopalnie wielickie będą w dniu 16 b. m. (w niedzielę) otwarte i oświetlone. Oprócz tego urządzone będą jak zwykle ognie sztuczne i t. zw. [illegible]. Bilety wstępu sprzedaje księgarnia p. A. Krzyżanowskiego w Krakowie, w Rynku.

Gmina Rawa ruska zaliczona została do siódmej klasy taryfy czynszowej w celach wojskowo-kwaterunkowych.

Zaszczytne odznaczenie. Długoletni i zasłużony członek Towarzystwa Bratniej pomocy i czytelni polskiej w Czerniowcach a obecnie radca pocztowy we Lwowie p. Józef Białynia Chołodecki, który dał się zaszczytnie poznać swojemi pracami literackiemi ogłaszanemi pod pseudonimem Walenty Gwiłta, otrzymał od wspomnianych towarzystw dyplom na członka honorowego. Na tytułowej karcie dyplomu widnieje rysunek artysty malarza Popiela, przedstawiający niewiastę polską wieńczącą laurami nazwisko uczczonego w nagrodę za położone zasługi.

Polski język p. Hribara. Jak wiadomo zakończył p. Hribar, burmistrz miasta Lublany, przemowę do hr. K. Badeniego po polsku. Organ jego *Slovenski Narod* podaje w ostatnim numerze te wyrazy. Oto są one:

„Wasza Excelencya. Właśnie jest jeszcze coś, co nas pociąga do Waszej Ekscelencyi: Nadzwyczaj podziwiamy wielkiego męża stanu, który rozumie tak [illegible] władzę łaskawego monarchy; przezornego i rozsądnego polityka, który tak wielkiej liczbie [illegible] poddanych do swych praw dopomógł; ale przedewszystkiem uczuwamy się przejęci miłością, szacunku i poważania dla wiernego syna bratniego narodu. Dla tego wołamy z całego serca Waszej Excellencyi trzykrotne: Živio!“

Oczywiście pod względem stylu i gramatyki polszczyzna p. Hribara pozostawia wiele do życzenia ale w każdym razie same chęci zasługują na uznanie.

Oryginalni artyści przybyli do Lwowa. Są to papugi kakadu „aktorzy“, którzy pod kierunkiem swego „dyrektora“ pana Felicyana Tomasiewicza będą grali teatr w klubie pocztowym w hotelu George'a. Pierwsze przedstawienie w sobotę.

Konkursa rozpisują: Izba notaryalna w Krakowie na posadę notaryusza w Kalwaryi. Termin do 10 września. Nadprokuratorya państwa w Krakowie na posadę [illegible] przy Zakładzie karnym w Wiśniczu. Płaca 600 zł. i kwatera po 100 zł. Termin do 10 września. Lwowska dyrekcya poczt i telegrafów na posady ekspedyentów w Stebnowej (pow. dolatyński) i w Lipnicy wielkiej (pow. grybowski). Termin do 24 b. m.

Dowóz do Galicyi bydła rogatego, owiec i nierogacizny z Kroacyi i Slawonii, a mianowicie z komitatów Syrmien, Krovilica, Agram i Porega, oraz z okręgu miast: Brod, Petrinia, Lissek, Kostajnica i Ivanic, został urzędownie wzbroniony, z powodu panującej tam zarazy pyskowo-racicowej i pomoru świń. Z innych, od zarazy tych wolnych, obszarów Kroacyi i Slawonii przywóz bydła rogatego i nierogacizny żywej ponad 120 kg. oraz nieuszkodzonej nierogacizny bitej, kolejami jest dozwolony, ale nierogacizny żywej, przeznaczonej na handel do chowu, ponad 120 kg. wagi, z całej Kroacyi i Slawonii do Galicyi przywozić nie wolno.

Petycya do hr. Gołuchowskiego. *Frankfurter Zeitung* donosi, że zarząd gminy ormiańskiej przesłał hr. Gołuchowskiemu memoryał opatrzony [illegible] podpisami, z prośbą, by austryacki minister spraw zagranicznych, który [illegible] już Europę od niechybnej wojny“, przez zorganizowanie jednolitej akcyi ambasadorów, wpłynął na Portę, by ostatecznie uregulowała kwestyę armeńską.

W sprawie kolei elektrycznej. Wydział krajowy postanowił, przed zatwierdzeniem uchwały rady miejskiej, zapytać się w sprawie objęcia kolei elektrycznej na własność gminy, zażądać od magistratu przedłożenia dokładnych planów i kosztorysów tego przedsiębiorstwa. Nie znaczy to, że Wydział krajowy jest przeciwnym objęciu tramwaju elektrycznego przez gminę, chce on tylko wpierw zbadać dokładnie stan rzeczy i [illegible] pod względem finansowym.

Nekrolog. We wsi Petryłowie, w powiecie tłumackim zmarł 3 sierpnia dziekan tameczny, ks. Mikołaj Proskurnicki, paroch gr. kat., liczący lat 80. S. p. zmarły piastował w wsi Petryłowie i Nowosiółce, przez lat 30 ten trudny, a tak zaszczytny zawód z gorliwością i rzadką, jakiego tylko dziś spotyka [illegible] religii, poczuciu obowiązków, przytem jako człowiek głębokiej i gruntownej wiedzy, pozostawił po sobie żal głęboki, nie tylko w rodzinie, ale i w obecnie ludzi, którzy go znali i cenili. Kiedy przed laty kilku wieś w Petryłowie i Nowosiółce miała spór serwitutowy z gminą i po rozstrzygnięciu sprawy przez komisyę serwitutową, gmina jeszcze gwałtem zdobyć chciała wyższe prawa, s. p. dziekan Proskurnicki dał wówczas dowód swej nieskażonej przyjaźni dla obu stron powaśnionych: on to swoim rozumem i słodyczą charakteru, pogodził spór zażegnał. Był to wzór prawego kapłana, [illegible] dobra [illegible]. Niechaj mu [illegible] ks. Mikołaj Proskurnicki [illegible] a du[illegible].

Separatyzm syonistów powołuje obecnie do życia [illegible] Galizischer Kleinhandelsverein [illegible] konsumcyjne, które ma przeciwdziałać Kółkom rolniczym. Syoniści galicyjscy, którzy swym współplemieńcom [illegible] społeczeństwa chrześcijańskiego [illegible] już przed dwoma laty [illegible] we Lwowie. Otworzyli wówczas handel, w którym sprzedawano [illegible] żytniówkę [illegible] konia Palestyński. Żydzi je [illegible] podwoje magazynu palestyńskiego. Teraz postanowiono w tę myśl na nowo i postanowiono obok wina i koniaku palestyńskiego sprzedawać także i cykoryę — tarnowską, której fabrykant na założenie Towarzystwa konsumcyjnego ofiarował 20.000 zł.

Sprzedaż dóbr radziwiłłowskich. W tych dniach ma nastąpić ostateczna likwidacya majątków księżny Hohenlohe, małżonki kanclerza niemieckiego. W tym celu oboje księstwo zjeżdżają na pewien czas do Wilna. Podobno księżna zatrzymała tylko dobra Warki, Lubicz i Naliboki; wszystkie zaś inne zostały sprzedane.

Nieszczęśliwe wypadki w górach. W miejscowości Dö fl spadli ze szczytów alpejskich i znaleźli śmierć: b. lekarz przyboczny szacha perskiego dr. Schmal i nauczyciel Horazdie. Ten sam los spotkał ucznia gimnazyalnego Rudolfa Majani, syna radcy namiestnictwa w Insbruku, który spadłszy z lodowców w Alpach sztubajskich, poniósł śmierć niezwłoczną.

Emigracya do Brazylii. Pisaliśmy już, że immigracya Galicyan do Brazylii została przez władze brazylijskie urzędownie wzbronioną, ponieważ emigranci chcą osiedlać się tylko w stanie Parana. Popsuło to szyki ajentom emigracyjnym; wnet jednak postanowili obejść zakaz rządu brazylijskiego. Ajent emigracyjny Gergolet, Włoch, ekspedyuje emigrantów galicyjskich do Montevideo, a stamtąd dopiero do Brazylii. Niestety, znalazło się już dwadzieścia rodzin, które poszły za poradą owego ajenta. Dnia 7 bm. wybrały się one w drogę przez Fiume, Wenecyę i Genuę do Montevideo. Wybieg to jednak niebezpieczny, gdyż emigranci prawdopodobnie wrócą z Montevideo do Galicyi.

Fałszerza pieniędzy, Jana Proskacza, aresztowano w Wiedniu. Jest on z rodu Czechem, był kilkakrotnie karany za żebraninę, a bierze udział w knowaniach anarchistycznych. W pomieszkaniu aresztowanego znaleziono przyrządy do podrabiania 20groszówek i srebrnych guldenów, oraz kilka falsyfikatów jego wyrobu.

Złote wesele. Z Brzeżańskiego piszą nam: W uroczem ustroniu prastarego Bieszcza odbyła się prześliczna i nie codzienna uroczystość złotego wesela. Sędziwi a czerstwi jubilaci p. Fryderyk Jan Franciszek 3 im. Sabatowski, dzierżawca Poruczyna w kluczu brzeżańskim i p. Antonina Magdalena 2 im. z Załęskich Sabatowska przystąpili do ołtarza, żądając błogosławieństwa bożego po 50 latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego i dziękując Bogu za wszystko, czego w tym półwieku od Niego doznali. Otoczyło jubilatów grono rodzinne: dzieci wnuki, prawnuczka i liczni przyjaciele.

Po uroczystym obrzędzie kościelnym, przy którym podaje się laskę z krzyżem, symboliczną podporę starości, po wysłuchaniu Sumy i dziękczynnem „Te Deum“, przemówił ks. Sołtys do zebranych, jak to błogosławion bywa człowiek, który się boi Boga. I przypomniał: „Kiedy was 28 kwietnia 1846 r. kapłan. stryj jubilatki, łączył węzłem małżeńskim, w modlitwie poślubnej prosił Boga: „abyście ujrzeli syny synów waszych do trzeciego i czwartego pokolenia“, ale dodał dalej: „abyście potem mieli żywot wieczny“. Pierwsza część życzenia za wolą i pomocą Boga po 50 latach spełniona. Spoglądacie z chlubą na dzieci, wnuki i prawnuczkę. Dzięki Bogu zapewniona ich i wasza przyszłość doczesna z waszej niezmordowanej pracowitości i uczciwej oszczędności. Druga część owej modlitwy Kościoła już od was, czcigodni jubilaci, zależy, a nie jest utrudnioną. Sprzyja wam wszystko, otacza was miłość i cześć rodziny i tego ludu, z którym żyliście się w dobrej i złej doli, sprzyja i to zdrowie, ta rzadka bystrość i przytomność umysłu, jaką obyście się długo jeszcze cieszyli. Wolni od trosk i namiętności łatwiej Bogu dziękujcie, bo jest za co i spokojniej o lepszej przyszłości pomyślicie. Wy tu obecni, młodzi i starsi, uczcie się jak to Bóg błogosławi tym, co się Boga boją. Mieli i oni przez te lat 50 swoje trudy i znoje, przykrości, zawody i gorycze, a z pomocą Boga przetrwali wszystko, za morza na niechybną zagładę nie uciekali, lecz trzymając się miłej ojczyzny, doczekali wśród was tej radosnej chwili.

Rzewny też zaiste i do łez wzruszający był to moment, owe lepsze patryarchalne czasy przypominający, gdy po ukończonym obrzędzie syn jubilatów, radzca i naczelnik sądu w Rożniatowie i p. radczyni z rodzinami pochylili się z godnością u kolan sędziwych jubilatów z prośbą o cząstkę tego błogosławieństwa bożego, jakie przed chwilą odebrali. A gdy ksiądz oznajmił, że ks. metropolita Seweryn Morawski udzielił pisemnie z pełni ojcowskiego serca arcypasterskiego jubilatom błogosławieństwa, radość wszystkich wzmogła się jeszcze bardziej.

Po nabożeństwie jubilaci przyjmowali po staropolsku rodzinę i przyjaciół serdecznie w starym poruczyńskim dworku. A kiedy ks. Sołtys wzniósł toast na cześć i zdrowie jubilatów, by żyli długo jeszcze, przykładem cnót ojczystych przyświecali i prawnuczce na ślubny kobierzec jeszcze pobłogosławili, miluchny dzieciak wykrzyknął „wiwat“, co obecni z radością i niemałą uciechą wzięli za dobrą wróżbę.

Skarga masonów niemieckich. Dzienniki berlińskie donoszą, że książe Fryderyk Leopold pruski, jako protektor trzech dawnych lóż berlińskich, wysłał w lipcu b. r. do cesarza Wilhelma pismo, w którem się skarżył na zaczepki, jakich doznaje wolnomularstwo w Niemczech. W piśmie tem była mowa o „niedorzecznych wiadomościach“, jakie szerzą pisma katolickie, i rzucają „dziwne światło na inteligencyę czytelników, dla których są pisane“. Dalej wspominał ów dokument książęcy o wycieczce *Deutsches Adelsblatt*, organu szlachty niemieckiej przeciw wolnomularstwu, i zapewniał, że właśnie w dzisiejszych czasach loże wolnomularskie są rzecznikami religijności (!) i patryotyzmu. — Na to pismo ks. Fryderyka Leopolda nadeszła teraz od szefa gabinetu cywilnego cesarza, Lucanusa, odpowiedź, w której p. Lucanus ubolewa nad zaczepkami *Deutsches Adelsblatt* i donosi, iż poczyniono odpowiednie kroki u protektora związku szlacheckiego, ks. Ernesta Güntera i przewodniczącego tego związku, hr. Schulenburga. *Germania* tak pisze o tym liście i odpowiedzi nań:

„Że berlińskie loże skłoniły ks. protektora do wystosowania pisma do cesarza, to dowodzi znowu, jak nieodpowiednie jest, aby jeden z książąt królewskiego domu przyjmował protektorat nad związkiem, który wszyscy katolicy w Prusach uważają i uważać muszą za potępiony przez Kościół i który z przyczyn wewnętrznych potępili Papieże. Jeżeli „Bóg“ równa się panteistyczno-monistycznej wszechistocie, jeżeli „religia“ znaczy to samo, co naturalizm i deizm, a „chrześciaństwo“ jest równem uznaniu Chrystusa jako wybitnego człowieka i mędrca, wtenczas jest wolnomularstwo istotnie rozsadnikiem religijności, to bowiem jest religią wolnomularstwa, ale zarazem także zatrutem jego jądrem; jestto bowiem przeciwieństwem prawdziwego chrześciaństwa. Co do patryotyzmu wolnomularzy, to zwracamy uwagę na stwierdzony dziejami i dokumentami udział wolnomularstwa w rewolucyach. Masoni przypisują wysokie znaczenie uczestniczeniu monarchów i książąt w wolnomularstwie, aby to wyzyskać dla upiększenia dążności loży. W tym przypadku użyli oni protektoratu księcia Fryderyka Leopolda na to, aby uzyskać osobną opiekę cesarza wobec krytyki publicznej. Gdzież bowiem jest w państwie związek, któryby się ośmielił zajmować monarchę skargami na prasę przeciwną i żądać od tronu środka zaradczego, którego nie można nawet zastosować wobec prasy niezależnej? Pisma kulturkampferskie upatrują w okoliczności, iż p. Lucanus w swej odpowiedzi pominął skargę na prasę katolicką milczeniem, „groźny znak“ faworyzowania centrum przez gabinet cywilny cesarza i korzystają z tej miłej dla siebie sposobności, aby znowu napaść na znienawidzone stronnictwo katolickie.

Tragedya miłosna. Ułan Dutka, syn pisarza gminnego we wsi Berlin pod Brodami, stacyonowany w Brodach, przybył w sobotę do wsi rodzinnej, ażeby przed manewrami pożegnać się z rodziną i swoją narzeczoną. Serce mu się ścisnęło z żalu kiedy się dowiedział, że jego „krasawycia“ sprzeniewierzyła się jemu podczas jego nieobecności i z innym ma wkrótce stanąć przed ołtarzem. Postanowił jeszcze raz się z nią rozmówić, wyszedł więc z nią do ogrodu, gdzie jej wyrzucał niestałość i błagał o zachowanie wierności. On prosił — ona zaś pozostała zimną. Do wściekłości jej obojętnością doprowadzony, chwycił Dutka za strzelbę i dwa razy wypalił z niej do kochanki, obydwa jednak strzały chybiły, tylko napadnięta upadła z przestrachu zemdlona na ziemię. Ułan myśląc, że ma przed sobą trupa wiarołomnej kochanki, że zaspokoił zemstę, skierował strzelbę ku sobie. Strzał był tym razem celny. Z przestrzeloną czaszką padł Dutka na ziemię bez życia.

Koszta pobytu Li-Hung-Czanga w Paryżu. Rząd francuski zapłacił okrągłą sumkę 80.000 franków za przyjemności goszczenia u siebie tego mandaryna chińskiego. Zarząd „Grand-Hotelu“, w którym Li Hung Czang z swym orszakiem mieszkał, policzył sobie 47.310 franków, właściciel siedmiu powozów, które stały do dyspozycyi mandaryna, kazał sobie zapłacić 4445 franków, a resztę wypłacono kolejom za przewóz gości chińskich i ich pakunków.

Wybuch Wezuwiusza. Z Neapolu donoszą, że od piątku wyrzuca wulkan Wezuwiusz ogromne strumienie lawy. Cały Piazzo delle Ginestre jest już zalany lawą. Wspaniałe widowisko jakie daje wybuch wulkanu zwabia tysiące cudzoziemców, którzy napływają codziennie z wszystkich stron.

Złoto przyczyną choroby. Z Warszawy donoszą, iż pewien robotnik fabryczny, otrzymawszy przy wypłacie sztukę złota, tak się tym nabytkiem ucieszył, iż postanowił nie robić żadnych wydatków nawet na żywność, dopóki nie dostanie następnego tygodnia pieniędzy, ażeby złotą monetę zachować. Skutek takiego postanowienia naturalnie wnet się objawił. Robotnik z głodu rozchorował się obłożnie, a zapytany o przyczynę, wyznał z prostotą iż nigdy złotych pieniędzy nie posiadał, chciał więc chociażby kosztem własnego zdrowia, pieniądz na zawsze zatrzymać.

Śmierć misyonarza. Do Tananarivo, stolicy Madagaskaru, wybrał się już po zajęciu wyspy przez Francuzów, misyonarz O. Berthieu, mieszkający od lat 20 w sąsiedniej gminie, otaczany powszechną czcią. Od czasu do czasu jednak pogańscy krajowcy napadli na gminę i dokuczali jej mieszkańcom. Na drodze do Tananarivo napadli więc dzicy księdza Berthieu. Misyonarz spadł z konia i złamał nogę, a mimo to dzicy pędzili go pięć dni pieszo do centra swoich siedzib. Fahawalowie tj. ci dzicy Madagaskarczycy przybywszy na miejsce, przywiązali go do drzewa i tak go na noc pozostawili, a trzeba dodać, że w ciągu tych dni marszu raz tylko jeden biedny jeniec dostał garść ryżu na pokarm. Na drzewie wisiał O. Berthieu całą dobę, poczem oprawcy zdarli zeń szaty, pokaleczyli go na całem ciele i wyłupali oczy. W tym stanie przywiązano nieszczęśliwego misyonarza do pala, a cała ludność męska osady, defilując przed nim, zadawała mu asagajami rany umyślnie nieśmiertelne, aby mu sprawić jak największe męczarnie. Fahawalowie zmusili także służącego misyonarza, młodego Madaskarczyka, że także kłuł go włócznią, ale z litości dla dobrego swego pana zadał mu takie dwa potężne pchnięcia, iż męczennik wkrótce wśród modłów wyzionął ducha. Ten to sługa umknął do Francuzów i opowiedział o całym wypadku, a dodał też, że O. Berthieu umarł, odmawiając różaniec. Przed śmiercią zażądał go słabym głosem, a Fahawalowie uważając różaniec za rodzaj fetysza i obawiając się gniewu jego, nie odmówili ostatniej prośbie świątobliwego starca.

Tragiczny wypadek zdarzył się przed kilku dniami w majątku Dopusznie pod Kielcami. Niejaki Baleski, zarządzający lasami w Dopusznie, człowiek w pełni sił młodzieńczych, nagle dostał pomieszania zmysłów, z nożem rzucił się na syna rządzcy, dozorującego żniwiarzy i boleśnie go skaleczył; ludzie dworscy ubezwładnili nieszczęśliwego i odprowadzili go do domu. Baleski po pewnym czasie uspokoił się zupełnie. Widząc to, jego żona, kobieta 19-letnia, poślubiona zaledwie przed 10 miesiącami, błagała rodzinę, aby zdjęto więzy, krępujące męża. Zaledwie Baleskiego uwolniono, on pod wpływem nowego ataku szału, pochwycił nóż i przebił nim żonę. Działo się to w oczach całej rodziny. Następnie Baleski wybiegł z mieszkania, dosiadł konia i popędził drogą, zadając rany koniowi. Cała służba pospieszyła za szalonym i po długich usiłowaniach, wpędziwszy jeźdźca do sadzawki, zdołała go ubezwładnić.

W łupinie przez ocean. Dnia 7-go sierpnia po południu wylądowali w Hawrze dwaj norwegscy majtkowie Geo Harbo i Frank Samuelson na małej łodzi „Fox“, która nie miała ani steru, ani masztu, tylko 7 par wioseł. Na tej to łodzi, mniejszej niż zwykłe łodzie okrętowe, odbyli śmiali żeglarze podróż przez ocean Atlantycki. Dnia 6 czerwca wypłynęli oni z Nowego Jorku, przebyli tedy 4000 mil w 62 dniach. W czasie podróży prowadził Harbo dziennik, z którego można się dowiedzieć o przygodach tych żeglarzy, którzy odwagą swoją dorównują bohaterom fantastycznych powieści Juliusza Vernego. Największe niebezpieczeństwo groziło podróżnym w nocy z 9 na 10 lipca, kiedy burza szalejąca już od dwóch dni, przewróciła ich łódkę. Cztery godziny pływali Harbo i Samuelson w wodzie, trzymając się kurczowo ścian łódki. Wreszcie po nadludzkich wysiłkach udało im się łódź odwrócić i uczynić znowu zdatną do żeglugi, ale zapasy żywności i wody do picia przepadły, a burza nie ustawała i zapędziła ich na północ, na rafy nowofenlandzkie. Na szczęście spotkali 15 lipca trójmasztowiec norwegski „Cito“, który ich zaopatrzył w zapasy. W dalszej podróży spotkali jeszcze kilka okrętów, których kapitanowie potwierdzili w dzienniku podróży „Foxa“, że łódź ta była bez żagla i steru, tak jak wypłynęła z Nowego Jorku. Flaga amerykańska, zatknięta na łodzi, została w czasie podróży potargana przez wichry na strzępy. Ręce Harbo'a okryte ranami z powodu wytężenia przy robieniu wiosłami. Suknie obu żeglarzy były podarte na szmaty; zanim ich odfotografowano, musiano im dać świeże odzienie. Harbo i Samuelson otrzymali za tę wyprawę złoty medal, wyznaczony przez nowojorską „*Gazetę sportową*“ za największy rekord w sporcie wioślarskim.

Straż okrętową na morzu Czerwonem kazał rząd włoski podwoić po schwytaniu holenderskiego parowca „Doelwyk“. Pokazało się bowiem, że parowiec ten wiózł dla Menelika 35.000 karabinów systemu Grasa i znaczne zapasy amunicyi. Menelik wysłał już wielką karawanę szoańską, która krąży w pobliżu wybrzeży celem odbioru tych zapasów, a nie wie jeszcze o tem, że Włosi już je skonfiskowali. Niemało zapewne zmartwi się Menelik, gdy karawana powróci z próżnemi rękoma.

Zmarli. W Wiśniczu dr. Adam Dobruchowski, lekarz zakładu karnego. — W Badenweiter zmarł Gustaw Henryk Romanowski, jeden z najwybitniejszych inżynierów petersburskich. — Ks. Jakób Kowalski, gr. kat. paroch Żubrki, buczackiego dekanatu, w 64 r. życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 16 R, w poł. + 20 R. Bar. 763. Spada. Pogoda.

Humor angielski. W gazecie *The Cycle* proponuje zwolennik jazdy na bicyklu uchwalenie następujących nowych przepisów: 1) Każdy idący pieszo, ma być zaopatrzony w trąbkę i dzwonek, a spostrzegłszy bicykl, jest obowiązany dawać znaki, że idzie. 2) W nocy każdy pieszy musi mieć zapaloną latarkę. 3) Wszystkie drogi muszą być zrównane, aby cykliści nie męczyli się jadąc pod górę. 4) Kto nie jedzie na bicyklu, musi iść środkiem ulicy, albowiem trotuary pozostawione być mają wolne dla cyklistów. 5) Idący chodnikiem lub ci, którzy przez nieostrożność spowodują przewrócenie się cyklisty, mają być ukarani grzywną do 100 zł. 6) Właściciele psów i drobiu, w razie przejechania przez cyklistę psa albo kury, podlegają karze do 50 złr. 7) Wszyscy chodzący pieszo, obowiązani są płacić podatek; każdy z nich otrzyma numer do obowiązkowego noszenia na plecach.

Z teatru. Dziś we środę po raz drugi „Niech jedzie na wieś“, komedya w 3 aktach Bayarda i de Vailly. Jutro we czwartek (wznowienie) „Stary mąż“, komedya w 5 aktach Józefa Korzeniowskiego z p. Chmielińskim w roli tytułowej. W piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę (wznowienie) „Kupiec Wenecki“, komedya w 5 aktach Szekspira z p. Żelazowskim w roli Szajloka. W niedzielę po raz drugi „Spirytyści“, komedya w 4 aktach G. Mozera. W przyszłym tygodniu wznowioną będzie jedna z najweselszych i najdowcipniejszych komedyi „Doktor Klaus“, a następnie „Głośny dzwon“ Blumenthala.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Jedną z najbardziej szalonych w swej wesołości fars francuskich „Słomkowy kapelusz“ wznowiono wczoraj na scenie teatru letniego. Publiczność zapełniła teatr dość licznie i ubawiła się wybornie, gdyż artyści grali z humorem i werwą. Z całej litanii artystów biorących udział w przedstawieniu zasługują przedewszystkiem na wzmiankę pp. Feldman, Walewski, Kwiatkiewicz, Wostrowski i Dębicki. Z powodzeniem debiutował po raz drugi na naszej scenie p. Nowacki, artysta teatru poznańskiego.

Reżyseryi musimy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że Paryżanka, która urządza u siebie muzykalny poranek ze współudziałem pierwszorzędnego tenora włoskiego, nie może mieszkać w apartamencie przypominającym swoimi meblami i urządzeniem mieszkanie małego urzędnika. *ek.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń 10 sierpnia.

(Z) Gdyby ruch na giełdzie był cokolwiek większy, bylibyśmy dziś zapewne świadkami gwałtownego falowania kursów. Nie brakło bowiem t. z. bomb, które w czasach normalnych mogą wywołać znaczne spustoszenia. Bomby te rzuciła prasa angielska, a zwłaszcza *Standard*, przedstawiając sytuacyę na Wschodzie jako nadzwyczaj krytyczną. Zdaniem tego pisma, nic już nie jest w stanie powstrzymać wybuchu wzburzenia ludności greckiej. Zaniepokojenie, wywołane tymi alarmami, zwiększała jeszcze pogłoska, że poseł austryacki w Atenach Kosjek, nagle przerwał swój urlop i wraca na stanowisko. Wobec tego atoli, że na targu naszym prawie nie było ani sprzedających, ani kupujących, ponure te kombinacye polityczne wywołały tylko nominalny efekt, objawiający się nieznaczną zniżką rachunkową. Ku końcowi giełdy zachodnie znacznie spokojniej oceniały sytuacyę, a w Paryżu wytworzyła się nawet dość znaczna zwyżka kursu ostatniej pożyczki rosyjskiej.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 358 —, węgierskie 386·—, Anglobanki 154·75, Uniony 286 —, Bankvereiny 264·50, Landerbanki 249 —, Ludwiki 218·60, Czerniowieckie 286·50, Elbethale 273·50. Renta papierowa 101·65, srebrna 101·65, austryacka złota 123·20, 4% austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 122·25, 4% węgierska renta wal. kor. 99·40, dukat 5·64 —, 20 frankówka 9·50½, marki 11·73, ruble 1·26¾.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 10 sierpnia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1329, węgierskich 3006 i niemieckich 934, razem 5269 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33 do 34, osobliwe prima 35 do 36, wyjątkowo 37 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

Sprawozdanie Banku rolniczego. Lwów 12 sierpnia 1896.

Usposobienie spokojne, ruch w handlu zbożowym słaby, ceny więcej nominalne.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·50 do 6·80, pszenica nowa 0 — do 0·—, żyto gotowe 5·— do 5·50, żyto nowe 0 — do 0·—, owies obroczny 5·80 do 6·30, owies nowy 0·— do 0·—, jęczmień stary 0·— do 0 —, jęczmień nowy 4·50 do 4·70, rzepak nowy 8.— do 8·25, wyka 4.— do 4·20, groch 5·50 do 7·50, lnianka 0·— do 0·—, bobik 4.— do 4·30, hreczka 6·50 do 7·—, kukurudza nowa 5.30 do 5.50, chmiel za 56 kilo 40·— do 50·—, koniczyna czerwona —·— do —·—, koniczyna biała —·— do —·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—, tymotka —·— do —·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei gotowy 13·50 do 13·75, spirytus na termina 11·25 do 11·50.

Telegramy „Przeglądu“.

Belgrad 12 sierpnia. Deputacya stronnictwa radykalnego zgłosiła się wczoraj na audyencyę u króla. Król nie przyjął jej gremialnie, tylko powołał do siebie po kolei pięciu jej członków, między nimi Pasicza i z każdym z osobna rozmawiał, zapewniając, że sam zajmuje się sprawą rewizyi konstytucyi i że ta sprawa z początkiem przyszłego roku będzie załatwiona.

Konstantynopol 12 sierpnia. Na wiadomość o gwałtach popełnionych przez Turków w Annopolis na Krecie, wydał sułtan surowy rozkaz, ażeby koniecznie stłumiono ruch mahometańskiej ludności tej wyspy.

Misya Zihni baszy, który odpłynął na Kretę, ma na celu zbadanie ogólnej sytuacyi na wyspie i prac sejmu kreteńskiego, tudzież zaproponowanie odpowiednich zarządzeń celem pacyfikacyi Krety.

Razem z Zihni baszą popłynęli na Kretę Hrahin basza, członek sądu kasacyjnego Ikiadis effendi, tudzież jenerał dywizyi Ibrahim basza, który obejmie w miejsce Abdullaha naczelne dowództwo nad wojskami tureckiemi na Krecie.

Wiedeń 12 sierpnia. *Vaterland* w dzisiejszym artykule wstępnym zajmuje się stosunkami między Papieżem a Rosyą, oświadcza, że stosunki te polepszyły się od wstąpienia na tron Mikołaja II, czego najlepszym dowodem to, że nuncyusz Agliardi mógł zatrzymać się w Warszawie i tam znosić się osobiście z biskupami polskimi, duchowieństwem i wiernymi.

Vaterland potwierdza, że obecnie toczą się rokowania między stolicą apostolską a Rosyą na podstawie ostatnich umów. Umowy te objęte są czterema konwencyami z 24 grudnia 1882 zawartemi między ks. Jakobinim a rosyjskim pełnomocnikiem Buteniewem.

Pierwsza konwencya dotyczy administracyi dyecezyi mińskiej, kamienieckiej i podlaskiej; druga seminaryów katolickich, trzecia dotyczy arcybiskupa mohilewskiego, czwarta zawiera oświadczenie rządu rosyjskiego, wyrażające gotowość zniesienia niektórych postanowień wyjątkowych ciężących na duchowieństwie katolickiem w Polsce, tudzież w prowincyach zachodnich.

Obecne rokowania zmierzają albo do uzupełnienia powyższych konwencyi, albo do ich zniesienia, a zaprowadzenia na ich miejsce innych postanowień. *Vaterland* wyraża wkońcu nadzieję, że Kościół katolicki w Rosyi otrzyma potrzebne mu swobody.

Paryż 12 sierpnia. Agencya Havasa donosi z Aten, że Porta odrzuciła wszystkie żądania Kreteńczyków i oprócz ogólnej amnestyi chce im przyznać tylko to, co im przyznaje konwencya z Haleppo.

Król grecki miał wczoraj z prezesem gabinetu, ministrem wojny i ministrem dla spraw zewnętrznych długą konferencyę, której w Atenach przypisują wielkie znaczenie.

W Heraklejonie panuje zupełna anarchia. Muzułmanie podpalili znowu cztery miejscowości przyczem kilkanaście osób zginęło w płomieniach.

Nowy York 11 sierpnia. Na udar słoneczny zmarło dotychczas w New-Yorku 226 osób a w Chicago 76. Wszystkie szpitale przepełnione.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. W. hr. Grocholska z Podola rosyjskiego. Wł. dr. Lisowski z Krakowa. Ks. A. Pawłowski z Rokitnicy. Z. Suszycki z Wietrzna. B. Robertson z Chorzelowa. L. Freund z Wiednia. A. Czeicke z Tarnopola.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. J. Krypiakiewicz z Petersburga. M. Lewandowski z Reklińca. J. Łukasiewicz z Jarosławia. E. Sponagel z Liegnitz. A. Moczeyko z Rosyi.

NADESŁANE

Lwów dnia 12 sierpnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·50 do 220. —, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 285.— do 290.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 390.— do 400·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. łos. w 50 lat 99.80 do 100.50, 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.10 do 98.80. 4 proc. los w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. łos. w 56 lat 97.50 do 98.20.

Wiedeń 11 sierpnia. Notowania wieczorne. Kredyty 361·25, węgierskie kredyty 387·00, anglobank 155.00, bankverein 265·00, unionbank 287·00, länderbank 250·25, staatsbahny 358·50, lombardy 101·75, elbethale 274·25, akcye tytoniowe 150.50, rima 238·—, alpiny 80·00, renta majowa 101·67, węg. renta koronna 99·45, losy tureckie 49·10, marki 58·67, ruble 126·75.

16)

WYSWATANA

Powieść

Jana de la Brête.

Tłumaczona na polskie przez baronową Hartingową.

(Ciąg dalszy).

— Cóż to znowu znaczy? — zakrzyknął unosząc się. Czy myślisz że zniosę...

— Wysłuchasz mnie do końca — przerwałam tak zimno i rozkazująco, że zmusiłam go do milczenia.—Nie upominam się o moje wzgardzone prawa ani nie czynię ci żadnych wyrzutów za siebie. Pragnęłam nie dopuścić aby rzeczy doszły do ostateczności, ale wypadek z Lilą zmienił mój sposób widzenia. Jeżeli masz taki nieprzyzwyciężony wstręt do mnie, że nie możesz mnie widzieć aby nie wpadać w szał porywczości, to... nie mam obowiązku znosić tego dłużej. Rozstańmy się w zgodzie.

— Ani w zgodzie, ani w nienawiści! — zawołał tupiąc nogą.

— Nie? — odparłam zwolna i dobitnie. A ja ci przysięgam, że jeżeli mnie i mojej córce nie uczynisz znośniejszego życia, to odwołam się do trybunałów i otrzymam seperacyą dla siebie.

Stałam przed nim dumnie wyprostowana, z oczyma płonącemi. żarem oburzenia, ale rękami konwulsyjnie chwyciłam się wysokiej poręczy krzesła aby nie upaść.

Ale Henryk kiedy chciał, umiał doskonale panować nad sobą. Dbał on bardzo o pozory wobec świata, a skandal rozgłośnego procesu, któryby ujawnił jego postępki, był mu nad wyraz wstrętny. Hamując się więc, rzekł lodowatym tonem:

— Zdaje mi się, że daję ci dalsze dowody cierpliwości słuchając cię.

— To dobrze — odparłam równie zimno. Pragnę abym i ja nie potrzebowała dowodzić ci, że postanowienie moje jest niezłomnem.

To rzekłszy wyszłam z pokoju.

X.

Od tej chwili życie weszło w nową fazę chłodu i goryczy, ale względnego spokoju.

Mąż mój zrozumiał, że przestałam już być nieśmiałą dzieweczką drżącą przed wybuchem jego gniewu, i kobietą kochającą, która przez miłość wszystko gotową była poświęcić dla niego. Nasze stosunki straciły z małymi wyjątkami, gwałtowny swój i zaostrzony charakter, ale długi czas jeszcze wytaczał mi on podjazdową wojnę, nie szczędząc na każdym kroku drobnych ukłuć szpilką, które bolały nieraz jak rana zadana sztyletem.

W dwa miesiące po powrocie otrzymał on list od p. Augusta, który mu donosił, że wybiera się w podróż do Japonii.

— Utrzymuje on, że podróżomania opanowała go do tego stopnia, że za lat kilka zaledwie wróci do kraju — rzekł Henryk.

— Lubił on zawsze szukać przygód w obcych krajach — odparłam usiłując ukryć moje pomięszanie.

— A przecież wydawało się, że na stałe osiedlił się na wsi. Widać nowa fantazya strzeliła mu do głowy. Ale co mnie zastanawia, to smutny ton jego listu. Kto wie, czy pod tym pretekstem podróży nie kryje się jaka sercowa sprawa. August zakochany i melancholijny!.. Ha!... ha!... Toby był szczyt komizmu.

— Dlaczego? — spytałam z wysiłkiem. Wszak uchodzi za człowieka bardzo uczciwego.

— Zapewne... zapewne... nie przeczę. Ale czyżby która kobieta była w stanie zająć się nim?

Rozmawiając stanęliśmy na krańcu polanki leśnej, w miejscu, w którem poprzedniego lata, podczas zbiorowej wycieczki, p. August, wobec zgromadzonych sąsiadów, w sposób nader ożywiony opowiadał nam jedną z podróżnych przygód swoich. Wszyscy słuchali go z natężoną uwagą i nikt nie znajdywał go śmiesznym; ja zaś, nie wiem dlaczego, wyjątkowo miłe wrażenie zachowałam z dnia tego. Pamięć tej chwili wróciła mi w całej pełni wraz z szumem boru i zapachem leśnych kwiatów, które podziwialiśmy niegdyś wspólnie.

— Ale—wyrwało mi się prawie bezwiednie, umysł jego wykształcony, jego zalety moralne, jego charakter prawy... czyż to za nic liczyć?

— Zalety moralne!.. odparł mój mąż wzruszając ramionami. Moja Izio, ty nie masz pojęcia o świecie... Nie możesz sądzić o takich rzeczach. Całe twoje życie zawsze błądzić będziesz po jakichś zaczarowanych krainach ideału.

Kraina ideału!... O! jak ja lubiłam chronić się w niej zdala od sceptycznych współmieszkańców naszej planety. Ale mógł Henryk ile chciał ośmieszać swego przyjaciela. W sercu mojem obraz jego — zachować miał zawsze żywe barwy ideału.

Smutny list biednego tułacza poruszył mnie do głębi i na długi czas zakłócił spokój mój wewnętrzny.

Od powrotu swego z zagranicy mąż mój kilkakrotnie odwiedzał panią de Serres, a w milczeniu jego i spojrzeniach widziałam tryumf, który stanowił dla mnie obelgę. Rywalka moja owdowiawszy, przeniosła się na stałe mieszkanie do Paryża, gdzie Henryk również postanowił spędzić zimę.

Cała duma moja kobieca oburzała się przeciw temu zamiarowi; nie mogłam jednak sprzeciwić się woli męża. Pięknego, jesiennego ranka, opuszczając Roche-Plate, z głębokim żalem rozglądałam się dokoła po tych miejscach, w których przecierpiałam tak wiele, i zdawało mi się, że z pustej skarbnicy rozwianych moich złudzeń i uronionych radości, coś jeszcze tracę, ja, którą los odarł już z wszystkiego.

Pozostawiałam za sobą tę część mego życia, w której jeszcze świtała mi jakaś zwodnicza gwiazda nadziei; i płakałam za tem błędnem, złudnem światełkiem, które zagasło na zawsze. Nie znalazłam tam szczęścia, gdziem go szukała, ale przynajmniej nauczyłam się cierpieć po chrześcijańsku.

Tor życia mego odtąd jasno zakreślonym był przedemną, a choć umysł mój i serce buntowały się niejednokrotnie, choć ramiona moje uginały się pod narzuconem brzemieniem trosk codziennych, jednak broniąc się przeciw własnej słabości, postanowiłam śmiało i odważnie iść naprzód. Wobec zmarnowanej młodości mojej i gruzów, w których rozpadł się gmach moich marzeń, czułam, że z całą energią przeciwdziałać muszę ogarniającemu mnie chwilami zniechęceniu i zaznaczyć sobie wyższe cele życia, aby wznióśszy się ponad ułomności ludzkie, osiągnąć nareszcie krwawo zdobyty spokój.

Choć prócz wspólnego dachu nic już nie łączyło mnie z moim mężem, jednak związek nasz zachował wobec świata pozory, o które chodziło mi jedynie ze względu na podrastającą naszą córkę. Wobec dziecka, które kochał, Henryk hamował porywczość swojego charakteru, a antypatya, jaką czuł do mnie, przeszła w końcu w zupełną obojętność. Przez przywiązanie dla Lili jął nawet okazywać mi pewne względy grzeczności, które zachowałby wobec pierwszej obcej osoby, którąby mu była użyteczną.

Cierpienie działa na niektóre władze umysłowe, jak światło na produkcyę ziemi. Zradza ono i potęguje żywotne siły, które zmarniałyby w bezczynności zbyt łatwego życia. Przed smutnemi oczyma otwiera widnokręgi zakryte przed wzrokiem wybrańców losu i na skrzydłach pragnień unosi ducha w sfery wysoko ponad poziom ziemi wzniesione. Przejmuje ono wstrętem do wszystkiego co brudne i płaskie, a w rozpamiętywaniu piękności prawd moralnych upatruje promień bożej myśli, rządzącej światłem i losami ludzkiemi. Pomimo jednak wszelkich wysiłków woli, jedno drobne wstrząśnienie, jedno słowo starczyło nieraz, aby zniszczyć pracę długich miesięcy i zachwiać w samych podwalinach dzieło uspokojenia wewnętrznego, nad którem pracowałam tak mozolnie. Pamiętam jak raz wybuchnęłam głośnem, niepowstrzymanem łkaniem, kiedy biedna jakaś, rozżalona kobieta, którą usiłowałam pocieszyć, rzekła do mnie z gorzką wymówką zazdrości:

— A!... pani nie wiesz co to jest cierpieć!... Jesteś bogatą... szczęśliwą...

Ja szczęśliwą!... ja godną zazdrości... O Boże!...

Opowiadając Lilce mojej historyę królewnej uśpionej w zaczarowanym lesie, przychodziła mi nieraz na myśl, że tę alegoryę serca zbudzonego jednem lekkiem dotknięciem możnaby nieraz zastósować do okresu życia prześnionego bezmyślnie w półśnie obojętnych wrażeń aż do chwili, w której jedno potężne wstrząśnienie nie zbudzi naraz całego zaczarowanego gmachu.

W tym cichym pałacu wspomnień moich dawnych, widzę córkę moją na kolanach starej Józefki, która opowiada jej, jak mnie niegdyś, stare baśnie, i tęczowy świat marzeń roztacza przed dziecięcą jej wyobraźnią. Lila przepada za staruszką, która uważa ją za ósmy cud świata. Ona to jest ostatnią z tych dobrych, znikłych już dziś ze świata duchów, które z taką radością pochylały się niegdyś nad jej kolebką. Ona jedna zachwyconym wzrokiem śledzi wzrost jej i urodę rozwijającą się z każdym rokiem. Bo Lila zajmuje samo centrum zaczarowanego pałacu; koło niej skupia się wszystko. Ona to kiedyś przywróci uśpionemu dawne życie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Zorża). Zarządca W. Hodak.